N. 37. WARSZAWA d. 2 (14 Września) ROKU 1872.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru.

Od Redakcji.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie w czwartym kwartale r. b.

Prenumerata zniżona pozostaje ta sama a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie Rs. 1 kop. 50.

Na Prowincji z opłatą pocztową kwartalnie „ 2
Półrocznie „ 4
Rocznie „ 8

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać *wcześnie wprost do Redakcji* pod adresem J. K. Gregorowicza, ulica Żabia N. 956.

Przyjaciel Dzieci pismo tygodniowe illustrowane dla dzieci od 5 do 15 lat wieku, również w kwartale 4-tym wychodzić będzie.

Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama:

W Warszawie kwartalnie kop. 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie Rs. 1
Półrocznie „ 2
Rocznie „ 4

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem jak na Tygodnik Mód i powieści.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marją Szeligę.

(Dalszy ciąg.)

Do pokoju wbiegła wysoka, smukła postać kobieca.

— Idalja!.. zawołała pani Karolina.

— Karolko moja!..

Obie objęły się w uścisk serdeczny, Idalja chwyciła jej rękę, popatrzyła w oczy, i potem przycisnęła do ust tę zacną dłoń świętéj kobiety.

Ruchem tym zupełnie przypomniała mi Marjana. Zdaje mi się, że i pani Karolina pomyślała to samo, bo uśmiechnęła się i z czułością poprawiła krucze sploty jej włosów.

Nastąpiło przedstawienie. Idalja podała mi drobną rączkę z ujmującym wdziękiem, potem usiadła, a ja, podczas gdy rozmawiała z panią Karoliną, przyglądałam się jéj z zajęciem.

Miała zapewne lat ośmnaście, rysy jéj były drobne, regularne i wyraziste, oczy duże, czarne i to stanowiło największą różnicę z twarzą Marjana, do którego jednak rzeczywiście uderzająco była podobną. Ubrana była skromnie, ale bardzo gustownie. Szczupła, wiotka, odpowiadała zupełnie swojéj nazwie, w całéj postaci było coś prawdziwie idealnego!

— Stryjostwo nie chcieli mię puścić, musiałam zebrać całą odwagę, aby im oprzeć się stanowczo. Ale twoje słowa dodały mi mocy. Chcesz abym przybyła do ciebie, jestem ci potrzebną, stawiam się na wezwanie.

— Dziękuję ci mój drogi ideale! odpowiedziała pani Karolina, jak widzę z pociechą, żadne wpływy nie zdołają zatrzeć w tobie téj dobroci i szlachetności, zawsześ jednaka.

— Czemu nie dodasz jak wszyscy, zawsze egzaltowana, dodała Idalja ze smętnym uśmiechem.

— Bo mi twoja egzaltacja dzisiaj podoba się niesłychanie, i prawdziwą sprawia przyjemność!..

Idalja spojrzała zadziwiona, a ja myśląc że moja obecność jest może zbyteczną, podniosłam się mówiąc.

— Po długim niewidzeniu, panie pewno chcą swobodnie rozmawiać, więc...

— Ale ty nam nic nie przeszkadzasz Janko,— przeciwnie, uradowana jestem żeście się poznały od razu, bez przygotowań i pierwszych wizyt. Jestem pewną że się pokochacie, boście obie młode z gorącem sercem i piękną duszą. Będziecie miały z sobą więcéj przyjemności, bo zrozumiecie się wzajem lepiéj, niż w towarzystwie ochłodzonéj już życiem i zmęczonéj chorobą istoty, która słabą suchotniczą piersią w oli oddychać w zdrowéj atmosferze spokojnéj prozy, i nie nadąży w szybkiem szybowaniu po przestworach marzeń i tęcz wyobraźni. Lećcie moje ptaszyny, a gdy w locie zbytecznie głowa się rozpali, albo skrzydła rozbujają, moją rolą jest dać wam uśmierzającéj wody! ..

Uśmiechnęła się łagodnie biorąc nasze ręce, a my obie ze wzruszeniem patrzyłyśmy na jéj blade lica okryte nieprzebitym spokojem i powagą. Wkrótce wszystkie rozmawiałyśmy żywo, śmiałyśmy się, żartowały, potem na prośbę pani Karoliny grałyśmy po kolei, a nakoniec o dość późnéj godzinie rozstałyśmy się, żegnając serdecznemi do widzenia.

Powracając rozważałam głęboko uwagi, które mi tak trafiły do przekonania, czy starałam się poznać i zbadać moje nowe obowiązki i powołanie? Spytałam sama siebie cichutko, nie!.. poszepnęło sumienie i nim dojechałam do Klonowa, uznałam się

winną w tu rzeczy. Ale obraz Dosi, i prawdopodobnéj niewierności Jarosława, zatarł i zagłuszył wszelkie skrupuły. Jam grzeszyła przez niewiadomość i niedoświadczenie, a on rozmyślnie targał najdroższe węzły rodzinne. Uśmiech znowu znikł z méj twarzy, zastąpiony palącą łzą żalu i oburzenia.

I znowu dnie dawnym szły trybem. W kilka dni zapewne z namowy pani Karoliny, przyjechała do mnie Idalja, i całe popołudnie spędziłyśmy, na serdecznéj gawędzie. Powiedziałam jej o podobieństwie z bratem, zarumieniła się lekko i rzekła z uśmiechem.

— Dla tego, pocałuj mię jak siostrę, i kochaj mię choć trochę!..

— O gdybym ją naprawdę siostrą nazwać mogła, pomyślałam całując jej śliczne usteczka, i odtąd mówiłyśmy sobie po imieniu.

Święta się zbliżały. Przed wyjazdem wybrałiśmy się do rodziców. Już powóz zajechał, gdy przybycie Amilkara przeszkodziło naszemu zamiarowi.

— Nie róbcie sobie państwo różnicy, wyrzekł widząc skrzywienie Jarosława, i ja mogę pojechać także do Woli, więc nie zabieram czasu.

— Jest jeszcze dość wcześnie, możemy jechać późniéj trochę, niech pan siada, rzekłam wskazując mu krzesło z uprzejmością, aby wynagrodzić nieznośnie obojętną minę męża.

— Czy wiedzą państwo już o wielkiéj, a nigdy niespodziewanéj nowinie?... spytał Amilkar z uśmiechem tajemniczym.

— O jakiéj? spytałam.

— O postanowieniu pani Doroty.

— Nic nie wiemy, odparłam czując, że blednę, Jarosław przeciwnie nagle się zarumienił.

— Ale to ciekawe! Piękna pani Dorota, najprzyjemniejsza z młodych wdówek pod słońcem, zostaje zakonnicą!

— Zakonnicą? powtórzyliśmy oboje.

— Zakonnicą Karmelitanką czy Norbertanką.

— Zaraz po świętach jedzie za granicę i tam ma wstąpić do klasztoru. Zupełnie jak bohaterka sentymentalnego romansu.

— Dosia zakonnicą! szeptałam osłupiała.

— Dziwię się, że nie wybrała zakonu „Towarzystwa nieustannéj admiracji.“

— Czego? przerwał surowo Jarosław przecinając żarcik złośliwy.

— Najświętszego sakramentu! dodał nieco zmieszany Amilkar pochylając niby z uszanowaniem głowę. To najostrzejsza ze wszystkich reguła, a jej pobożność właśnie tego pragnie!

— Ale zkądże pan wie o tem? spytałam.

— Byłem w Drzewnéj, zastałem panią Dorotę w pokutnéj szacie, z różańcem w dłoni, i sama oznajmiła mi swą niezłomną wolę.

— Ha! to niepojęte!..

— Nieprawdaż? rzekł Amilkar z uśmiechem ironii rażącéj nieco przy kunsztownie nastrzępionéj fryzurze, i różowéj cerze mówiącego.

— W Woli dowiemy się szczegółów, odpowiedział Jarosław mnąc rękawiczki.

— Jedźmy więc, odparł Amilkar powstając. W drodze rzekłam do Jarosława:

— I cóż sądzisz o Dosi?..

— Nic nie wiem, odparł ruszając ramionami czyż można kiedy zbadać dokładnie kobietę? Najcnotliwsza ma jeszcze w swem sercu tyle złych skłonności, że nie powstydziłby się ich szatan, a najwięcéj zepsuta, jeszcze potrafi z próchna wydobyć światło, i wznieść się w dziedzinę ideału!..

— Niesprawiedliwy, zły, niegruntowny sąd!.. powiedziałam drżącym głosem. On spojrzał na mnie przenikliwie i dodał ciszéj:

— Ha! zobaczymy, czy będę mógł kiedy przekonać się, że niepodobnem jest, aby anioł stał się szatanem, a szatan aniołem!..

— Mój Boże! dlaczego on tak mówi?.. powtórzyłam sobie w duchu, nierozumiejąc wcale.

Rodzice w Woli potwierdzili nam wiadomość.

— Nie mogę pojąć co się Dosi stało! rzekła matka. Pojechałam do niéj sądząc że słaba, zastałam ją czarno ubraną z włosami rozrzuconemi w nieładzie, w pasie konopnym u którego wisiał różaniec. A gdym się zapytała o powód maskarady, odparła poważnie i na serjo, że chce zostać zakonnicą.

Perswadowałam jej półgodziny, ale potem namawiałam, aby przynajmniéj pozostała kanoniczką, gdzie łatwo mogłaby się dostać, bo nic prędzego nad legitymacją z kilkunastu herbów. Dość przejrzyć Niesieckiego i porównać z nazwiskiem i koligacją jej ojca. Byłoby to przecież taktowniéj i nawet wiele dystyngowanych osób wstępuje do tego zakonu, ale ona odparła znowu, że pragnie być siostrą zakonną u bosych karmelitanek w Krakowie, i uparła się stanowczo jechać w parę tygodni po świętach.

Przez cały ciąg wizyty, rozmowa toczyła się tylko o tym przedmiocie. Uważałam że Jarosław był smutniejszy niż zazwyczaj.

— Ha! żałuje jej, pomyślałam w duszy.

Co do mnie nie wiedziałam czy wierzyć, czy cieszyć się, albo smucić z téj wieści...

Przed świętami jeszcze parę razy widziałam Idalją, i za każdem widzeniem coraz więcéj mi się podobała. Przed samym wyjazdem, pani Karolina którą żegnałam na parę tygodni, rzekła ciszéj.

— Jakże ci się podoba Idalja?..

— Kocham ją jak siostrę, odparłam.

— Starajże się aby nią została. Kobieta którą obiecałam twemu bratu, jako urzeczywistnienie jego marzeń, to ona! Pamiętajże przywieźć tutaj Marjana, a resztę biorę na siebie. Nie ma w świecie dwóch dusz bliźnięco podobnych sobie, jak tych dwoje, których nawet powierzchowność jest podobną. Tak dobrana para będzie niezawodnie szczęśliwą!..

— Czemuż nikt nami tak nie zaopiekował się rozumnie, nie zastanowił się nad przyszłością naszą! westchnęłam cicho, i zaczęłam dziękować pani Karolinie za jej dobroć dla mego ukochanego braciszka.

— Marjan jest poeta i rozmarzone tęskne dziecię, niechże uczucie przepełniające jego serce odda takiej, która potrafi, i *może* mu odpłacić wzajemnością. Szkoda byłoby marnować takie skarby nadaremnie, dodała ze wzruszeniem, i pożegnała mię tkliwym uściskiem.

— Mateczce twojéj powtórz to, bo ona odczuje prawdę moich słów swojem kochającem serduszkiem, ale bratu nic nie wspominaj. Niech to będzie dla niego zupełną niespodzianką, tylko przywieź go tu koniecznie, powiedziała pani Karolina i dodała z uśmiechem.

— Oni oboje nie daliby sobie rady w świecie, trzeba koniecznie ręki którąby ich popchnęła lekko ku szczęściu. Cieszę się że los mnie wybrał do tego miłego posłannictwa,

— Bądź zdrową i wesołą moja droga Janko!

— I wracaj do nas!.. dodała Idalja zarzucając rączki około méj szyi, wracaj jak najprędzéj!..

— Powrócę! zawołałam, do zobaczenia moje kochane panie.

Na drugi dzień, jechaliśmy już do czekającéj z utęsknieniem mateczki. Mimo przyśpieszonéj jazdy koleją żelazną, zmrok już był szary, gdyśmy stanęli nakoniec w progach mojego rodzinnego domku. Jarosław przez całą drogę z troskliwością otulał mię od zimna, a gdy wjeżdżaliśmy w bramę rzekł cicho:

— Dziś minie dwa lata od naszego pierwszego poznania!..

Musiałam użyć całéj mocy, aby te słowa zostawić bez żadnéj odpowiedzi...

Mateczka i Marjan wybiegli do nas z serdecznem powitaniem. Starzy słudzy otoczyli mię, witając swoją dawną panienkę. Długą chwilę trwały uściski i pytania, Marjan i Jarosław przypomnieli sobie znowu owe pierwsze razem spędzone święta, i ze wzruszeniem uścisnęli się po bratersku. Wieczór nam zeszedł bardzo miło i prędko, jednak gdym się znalazła w moim dawnym pokoiku, w którym się nic nie zmieniło, uklękłam przed mojem białem łóżeczkiem, gdzie śniłam różowe widzenia niezmąconego spokoju niewinności, i zapłakałam... żałując tych dni swobodnéj rozkoszy dziecięcéj!...

Lecz potem pomyślałam, że w dniach szczęścia i gorącéj miłości Jarosława, nie byłabym tęskniła do przeszłości; więc znowu płakałam, ale teraz już za straconym rajem miłości i szczęścia.

Modlitwa ukoiła nieco mój ból, położyłam się i usnęłam znużona całodzienną drogą. Nazajutrz wstałam silniejsza i zdrowsza, dzień był mroźny, ale piękny, zupełnie taki jak tamtéj wigilji tyle pamiętnéj dla mnie. Spojrzałam na skromną gotowalnią dawnéj Janki, i dziwna myśl przyszła mi do głowy!

Zaplotłam włosy w dwa wielkie warkocze związane niebieską wstążką, i opuściłam je całkiem według dawnéj mojéj mody. Potem otworzyłam do szafy, gdzie spoczywała cała moja panieńska garderoba, i wyszukałam niebieską sukienkę którą włożyłam wraz z czarnym zawsze dawniéj przeze mnie noszonym fartuszkiem. Byłam więc ubraną zupełnie jak wtedy, gdy Jarosław po raz pierwszy zawitał do naszego domu. Od tego czasu mało się zmieniłam, i przejrzawszy się w lustrze, ujrzałam się taką zupełnie, nieśmiałą Janką, złotą ptaszyną rodziny, młodziuchną dziewczyną o dużych warkoczach.

Z bijącem sercem równie mocno, choć nieco inaczéj jak niegdyś, rumieniąc się, zmieszana weszłam do pokoju, w którym moi państwo już siedzieli przy śniadaniu. Mateczka klasnęła w ręce z radośnem podziwieniem, na ten odgłos odwrócił się Jarosław rozmawiający z Marjanem. Ujrzawszy mię, zapłonął, usta mu drgnęły, zdawało mi się, że mię chwyci w swoje objęcia z uniesieniem widocznem w jego twarzy, lecz się powściągnął i rzekł tylko podając mi rękę:

— Dzień dobry...

— Czy myślicie zupełnie do dawnych rol powracać? spytała zdziwiona chłodem mateczka. Biedna! nie wiedziała, że od dwóch miesięcy innéj nie znaliśmy oznaki czułości.

Teraz oboje pobledliśmy nagle, a ja pragnąc zwrócić jéj uwagę na inny przedmiot, natychmiast obojętną rozpoczęłam rozmowę. Mateczka i Marjan tak uwielbiali Jarosława, że nie wątpili na chwilę o mojem szczęściu, i łatwo ich było oszukać błachym pozorem.

Ale przy wieczerzy wigilijnéj, czyli przy ceremonji łamania opłatka, o mało, że nie wydaliśmy przykréj tajemnicy. Tu już nie można było poprzestać na podaniu ręki... Jarosław objął mię i na mych ustach wycisnął długi gorący pocałunek, ja się rozpłakałam gwałtownie i wybiegłam z pokoju.

Niespokojna mateczka podążyła za mną, i nie mogąc utulić tak prędko—powtórzyła kilka razy:

— Ach! Janko najdroższa! jakże się zrobiłaś nerwową! Udało mi się pokonać wzruszenie—i powróciłam do stołu, ale płacz mój smutne zrobił wrażenie. Milczeliśmy nie mogąc się rozweselić.

Po wieczerzy poszliśmy do saloniku,—Marjan

otworzył fortepian, usiadłam i zagrałam Rondo capricioso!

Nigdy tony fortepianu nie były więcej melodyjne, nigdy piękniejszych, rzewniejszych nie mógł wydać dźwięków. Gdy skończyłam mateczka złożyła ręce jak do modlitwy, Marjan z zachwytem wsłuchiwał się jeszcze w ostatnie akordó w echa, a Jarosław stał oparty o moje krzesło z twarzą w dłoni ukrytą. Wśród ciszy usłyszałam, że jego męzkie serce tak silnie biło w piersi jak moje rozdrażnione wspomnieniem, upojone muzyką!.. Potem już nic grać nie mogłam. Poprosiłam Marjana, aby coś zagrał, a ja opowiadałam mateczce, o Idalji i projektach pani Karoliny. Mateczka słuchała z rozrzewnieniem i cieszyła się nadzieją spełnienia zamiarów.

— Niechże jedzie z wami, nawet uważam, że w tych miesiącach posmutniał i pobladł bardzo. Może nieznana tęsknota uciska jego serce, ja mu nie mogę wystarczyć, niechże Bóg pozwoli, aby znalazł miłość słodzącą i zapełniającą wszystkie smutne i przykre chwile w życiu!

— Oh! daj mu Boże pozyskać serce Idalji, będzie z nią niezawodnie szczęśliwy!—powtórzyłam słowa pani Karoliny wierząc im zupełnie.

Stanął więc projekt jeszcze tego wieczoru, że Marjan z nami pojedzie.

— Tobie tu samotnie i głucho, jedź z nami w świat i otoczenie stosowniejsze dla ciebie,—rzekła prosząco mateczka. Ja wam będę towarzyszyć myślą i modlitwą. Daj mi słowo, że pojedziesz?..

Jarosław i ja przyłączyliśmy swoje usilne prośby, i Marjan musiał uledz i dać przyrzeczenie.

Spostrzegliśmy, że mimo oporu, widocznie cieszył się myślą wycieczki. Nie bawiąc długo, w tydzień po świętach powracaliśmy, wraz z moim braciszkiem, nieco smutni, bo po raz pierwszy w życiu pozostawialiśmy mateczkę samą. Ale ona tak umiała nas zaspokoić, tak przekonać umiejętnie, że chwilowe osamotnienie dla sprawiania przyjemności dzieciom ukochanym, jéj saméj będzie wielką przyjemnością, że smutek nasz z tego powodu nie mógł trwać długo. Mówię z tego powodu, gdyż inne przyczyny prawdopodobnie każdego z nas różne, zasmucały, czyniąc Marjana tęsknie rozmarzonym, Jarosława ponurym, a mnie jak słusznie uważała mateczka, nerwową. Postępowanie nasze mimo chwilowego zbliżenia nic się nie zmieniło. Oboje tylko mieliśmy jakąś lękliwą nieśmiałość, okazującą się w każdéj sposobności mimowolnego zetknięcia, nieśmiałość nieskończenie większą, niż gdyśmy byli narzeczonymi. Nawet Jarosław stracił w obejściu ze mną tę łagodną, a przecież nieco wyniosłą powagę, uwielbianą w nim nieraz przeze mnie, bo ślicznie przypadała do szlachetnych rysów jego twarzy. Teraz często mogłam mu zarzucić dziwną sprzeczność w słowach i czynach, nielogiczność nawet. Był ciągle jak człowiek wahający się wśród wielkiéj niepewności. Tłomaczyłam to sobie wprawdzie, uczuciem dla kobiety, która wbrew zasadom cnoty i pojęciom honoru, owładnęła jego sercem, ale czasem znów napotykałam także jasne i piękne spojrzenie jego rozumnych, wyższość ducha znamionujących oczu, że mówiłam sobie w uniesieniu, że te oczy nigdy kłamać podle nie mogą!

Obowiązkową wizytą zaraz po przyjeździe były odwiedziny rodziców. Pojechaliśmy też tam wszyscy troje. Było to w niedzielę, jak zwykle, kilkanaście osób zapełniało salon, a wśród nich przybrana w długą czarną suknię z matowego kaszmiru, w krepowy welon pokrywający wcięte i spuszczone na ramiona włosy, z krzyżem na piersiach i licem podłem, siedziała przyszła karmelitanka Dosia.

— Zaledwo ją zdołałam uprosić, aby się okazała po raz ostatni w naszem kółku!—powiedziała matka.

Zbliżyłam się do niej z dziwnem uczuciem wstrętu i współczucia. Może ona kocha Jarosława, i chce poświęcić się dla jego spokoju??—pomyślałam ściskając jéj rękę ogołoconą z mnóstwa pierścionków.

— Dosiu! być że to może, ty zakonnicą?—zawołałam wzruszona.

— Tak będzie, tak być powinno! odparła nie podnosząc oczów.

Jarosław przyszedł ją powitać, co mu się nigdy nie zdarzyło pierwéj, i zazwyczaj ona sama wpadała na niego z burą i powitaniem.

— Witam panią!—rzekł podając jéj dłoń, ale Dosia zaledwie dotknęła się jéj nieco drżącą ręką.

Marjan wpatrzył się w nią przenikliwie, potem ciągle prawie śledził ją uparcie i rozmawiał z nią po razy kilka. Mnie zdjęła obawa o serce mego braciszka poety, ale wkrótce się przekonałam o pomyłce.

Dosia wcześnie opuściła salon, pożegnała mię mówiąc: Bądź zdrową i może się już nie zobaczymy! Wspomnij czasem o kuzynce Dosi, która niedługo nawet imię swoje złoży w grobie przeszłości.

Rozczulona zapomniałam o wszystkiem i odrzekłam ze łzami w oczach.

— O ja cię nigdy nie zapomnę!

— Tak sądzę!—odparła zimno i zwróciła się do Jarosława.

— Żegnaj na wieki!—szepnęła tak cicho, że raczéj przeczułam niż słyszałam te słowa, a potem dodała głośniéj dając mu list, który wyjęła z kieszeni:

— Kuzynie! ten list zawiera... rodzaj mego testamentu, zatrzymaj go... i przeczytaj wtedy dopiero, gdy się przekonasz o prawdzie mego twierdzenia, o czem nie wątpię. Wymówiwszy to wolno nagle roześmiała się po dawnemu—Bądź zdrów! dodała i pożegnała go skinieniem.

— Kiedyż jedziesz?—zapytała matka.

— Najdaléj za sześć tygodni, ale te przepędzę w samotności i rozmyślaniu, odrzekła poważnie, i wyszła z salonu.

Po jéj odjeździe tysiące różnych zdań krążyło w towarzystwie, które się podzieliło na małe koteryjki. Ja i Jarosław w milczeniu słuchaliśmy uwag, w tem zbliżył się Marjan i rzekł półgłosem:

— Co do mnie, jestem pewny że kapryśna amazonka nie wcześniéj zostanie zakonnicą, jak ja papieżem!

— Czy ci to oznajmiła?—zapytał Jarosław żywo.

— Nie, ale nie mogę uwierzyć, aby istota jéj podobna mogła się poświęcić na pokutę i cierpienie, mimo nawet wyjawionych mi pobudek postanowienia...

— Cóż ci mówiła?—spytaliśmy oboje razem.

— Że ze złamanem szczęściem serca, niepodobna już żyć w świecie wesołości i troski codziennéj.

Czyli, że pani Dorota pokochała kogoś niegodnego uczucia, i kryje się wraz z miłością w zacisze klasztorne. Rzecz pomyślana efektownie, ale bardzo nieprawdopodobna!—mówił Marjan z wybuchem nie częstéj u niego ironji.

— Nie twierdź tak Marjanie—i Magdaleny stają się świętemi, rzekł Jarosław z wejrzeniem, które mię przekonało, że go bolał sąd Marjana. Brat mój ujął jego rękę i widziałam ich długo rozmawiających wframudze okna. Kilka razy imię Dosi dobiegło mych uszu, zdziwiłam się niesłychanie, ale milczałam nie śmiejąc wypytywać brata o treść rozmowy.

W parę dni potem Marjan zapytał Jarosława:

— Przeczytałeś list Dosi?

— Nie!—odparł nagle zapłoniony. Przeczytam go, gdy naznaczony termin minie.

— Termin?

— Tak!—wyrzekł tonem nie zachęcającym do dalszych badań.

Zagryzłam usta i wyszłam z pokoju, aby nie dać poznać mego cierpienia. Więc on sam przyznawał się do tajemnych stosunków?

Tegoż dnia wieczór pojechaliśmy do Miłéjwsi. Idalja wybiegła do mnie z serdecznem powitaniem.

— Wróciłaś przecież!.. zawołała obejmując mię pieszczotliwie—tak nam cię brakowało!..

Spostrzegłam że Marjan na jéj widok, stanął jak wryty. Przedstawiłam go—ukłoniła się lekko zarumieniona, ale bez zakłopotania. Pani Karolina ucieszyła się naszem przybyciem, podała rękę Marjanowi z serdecznym wyrazem siostrzanéj prawie życzliwości, i ze zręcznością sobie właściwą rzuciła wątek zajmującéj rozmowy, do któréj wszystkich wciągnęła. Nawet smutny Jarosław rozruszał się trochę i gawędził po dawnemu. Był to jednak tylko cień jego dawnéj wesołości i dowcipu.

— Moja droga Janko! wy oboje macie na sercu jakiś straszny ciężar. Pomyśl tylko, czy rada lub współczucie przyjaciółki nie przyniosłyby ci ulgi!—powiedziała pani Karolina cicho.

— Nie pani, dziękuję za twą dobroć, ale korzystać z niej nie mogę, odparłam ze smutkiem. Nie nalegała więcéj spojrzała na mnie z czułością a potem utkwiła wzrok w Idalją mówiącą z Jarosławem i przerwała jéj prosząc, aby zagrała. Uśmiechnęłam się z niewinnego podstępu, który się udał wybornie. Wszystkie oczy zwróciły się na wiotką postać dziewicy idącej przez pokój z kandelabrem w ręku. Światło padało na jéj twarz piękną jak u greckiego posągu. Biała z miękkiego kaszmiru suknia drapowała się jakby w umyślnie ułożonych fałdach, a patrząc na nią każdemu musiało przyjść na myśl: to ideał!

Dźwięki łagodne, pełne a melancholijne przyciągnęły Marjana do drzwi salonu. Stanął i słuchał całą duszą. Czarowne Impromptu Szopena widocznie ogarniało jego serce, skłaniając je do cichych pięknych marzeń, odbijających się na jego wyrazistéj twarzy. Ale zwolna oczy jego z klawiszy przeszły na śliczne białe paluszki, a potem na rysującą się w półcieniu poważnie postać grającéj. Wkrótce Marjan duszą utonął w muzyce, wzrokiem w twarzy Idalji.

Widziała to pani Karolina, i dziwny błysk rozrzewnienia przebiegł po jéj bladéj twarzy. Pokonała go jednak natychmiast, a gdy Idalja skończyła rzekła z uśmiechem.

— Mamy troje wirtuozów, musimy więc nacieszyć się muzyką. Panie Marjanie, na pana koléj.

—Idaljo! żałowałaś wczoraj że nie masz z kim grać nowéj sztuki na cztery ręce, poproś pana Marjana i zagrajcie razem—a zrobicie nam wielką przyjemność.

— Bardzo chętnie! odpowiedział Marjan i w chwilę potem siedzieli przy sobie, grając utwór wielkiego niemieckiego mistrza. Gdy ich uniósł zapał artystyczny wzbudzony pięknością kompozycji, twarze obojga rozpromieniły się jednako, i wśród ogólnéj ciszy-przerywanéj tylko melodją granéj pieśni, czuliśmy że ich myśl błąka się i unosi na jéj skrzydłach i marzy może na jeden temat

(d. c. n.)

Z powrotem.

Widziałem kraj cudów olbrzymich władz ducha,
I serca zapalne i dłonie uczynne,
A tutaj i myśli i uczuć posucha—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Widziałem arcydzieł i piękna i sztuki
Utwory wieczyste, nadgminne,
Bogactwa przemysłu i skarby nauki—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Widziałem źrenice z odblaskiem Gehenny,
A twarze dziecięco—niewinne,
Tu lica niebianek jak kwiatek półsenny—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Widziałem kraj czarów i wdzięków natury,
Rzek możnych wybrzeża przesłynne,
I lasy pomarańcz i skały i góry—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Widziałem kraj jeden potęgi i chwały,
A w okół strumienie krwią płynne,
Od pieśni zwycięzkich niebiosa w nim drżały—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Poznałem skwar serca i bratnie objęcia,
I święte pieszczoty dziecinne,
Słyszałem i wieszczéj nadziei zaklęcia—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

I grody obiegłem, i morza przebyłem,
I stepy bezludne, pustynne,
I niby w śnie złudnym dni długie prześniłem—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Ej! tutaj, jak tutaj—niedola czy dola,
A ręce bezczynne czy czynne,
Czy praca pchnie naprzód, czy cofa swawola—
Lecz ziemia i niebo tu inne.

Choć wiele potrzeba dla duszy odchrzczonéj
Nim wskrzesi swe cnoty rodzinne;
Ból przypadł kamieniem do piersi zmęczonéj—
Lecz ziemia i niebo tu inne! *Jerzy Laskarys.*

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI

SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIOW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

CZĘŚĆ DRUGA

Sinai

I.

Drugą tę wycieczkę naszą w któréj mieliśmy się apoznać z prawdziwą pustynią i z prawdziwymi dromaderami, rozpoczynaliśmy w bardzo poważnem usposobieniu; ja odczytałem całą biblię, aby się najzupełniéj przejąć duchem hebrajskim.

Kolej żelazna przewiozła nas do Suez, małéj i brudnéj mieściny, któréj dopiero kanał suezki dodał trochę życia i malowniczości.

Ponieważ namioty nasze nazajutrz dopiero miały być gotowe, zatem zmuszeni byliśmy udać się do hotelu angielskiego, w którym zatrzymują się podróżni jadący do Indo-Chin i Japonji. Nieszczęściem trafiliśmy właśnie na odjazd karawany i wszystkie numera były zajęte.

— Nie ma miejsca! krzyknął nam z piętra jakiś garson czerwieńszy od morza nazwanego czerwonem.

Co tu począć! nie mieliśmy ochoty spędzić nocy pod gołem niebem; drogman zaczął parlamentować i stanęło na tem, że za dobrą opłatą pozwolono nam przespać się na sofach w salonie. Myśleliśmy, że jedynemi towarzyszami téj naszéj improwizowanéj sypialni będą—pluskwy, ale zastaliśmy w niéj dwunastu Anglików chrapiących z całego gardła.

Panowie ci okazali nam jawne niezadowolnienie, żeśmy się poważyli przerwać im sen może bardzo rozkoszny, i ani myśleli zrobić nam miejsce na sofach na których się wygodnie porozkładali. Wydzięczając się za tak niegościnne przyjęcie, postanowiliśmy płatać im rozmaite psoty.

Obuwie ich, ustawione na stole w szynku bojowym, rzucało nader fantastyczne cienie, przyszła nam chętka zdjąć szkic z tego oryginalnego obrazu; jakby za dotknięciem czarnoksięzkiéj laski w jednéj chwili wszystko było gotowe, i ubrani w więcéj jak skromne negliże, rozpoczęliśmy głośną rozprawę o malowaniu przy świetle gazowem. Nasi sąsiedzi wytrzeszczyli zaspane oczy, z początku nie wiedzieli czy śnią czy widzą na jawie, ale w końcu zrozumieli nauczkę i posuwali się, aby nam zrobić miejsce.

Zamierzaliśmy nazajutrz odwiedzić kilku panów, należących do *Towarzystwa Kanału Suezkiego* i dla tego chcieliśmy, aby nam pochędożono suknie i oczyszczono obuwie, a że nosiliśmy tam rozmaite buty, żółte, czarne, i różne ciżmy, zatem umówiliśmy się, iż jak tylko dzień zaświta, numerowy zabierze do wyszuwaksowania, wszys kie buty postawione przy drzwiach salonu. W tem jednemu z nas młodszych przyszła myśl szatańska, aby pobrać po jednym bucie naszych śpiących kolegów i poustawiać tuż przy naszych; notabene, wybieraliśmy same żółte, obiecując hojny bakszis numerowemu, jeśli nie będzie żałował szuwaksu. Stało się jakeśmy chcieli; poczem poustawialiśmy buty na swojem miejscu, i odjechaliśmy kiedy Anglicy jeszcze spali, wyobrażając sobie, co się tam działo po przebudzeniu.

Pustynia oddzielająca Kair od Suezu, przedstawia całkiem odrębne wejrzenie, z powodu nadzwyczajnéj ruchomości zalegających ją piasków. Biały ten i niepochwycalny piasek, za byle powiewem wiatru najdziwaczniejszym podlega przemianom. Już to tworzy nadzwyczaj wysokie góry, już to jakby wielkie kopuły, już znowu równe, rozległe płaszczyzny. Podróż w tych piaskach jest nadzwyczaj nużąca nie tylko dla wędrowców, ale i dla dromaderów, gdyż zapadając po kolana tylko bardzo wolno postępować mogą. Istniejąca dziś kolej żelazna między Kairem a Suez, ułatwia podróż, ale za to wielbiciele widoków Wschodu bardzo wiele na tem tracą, gdyż w tym właśnie punkcie pustynia jest nader malowniczą.

Jak okiem dojrzeć, roztaczają się wokoło prawdziwe morza ruchomego piasku, pochłaniające karawany i całe wojska, wytwarzające w jednéj chwili niebotyczne góry, tam gdzie w przeddzień bezgraniczna rozciągała się równina. Piaski te, lśniącéj białości, dziwnym sposobem przybierają wszelkie barwy w jakie tylko przyświecające im słońce, stroi się w różnych dnia godzinach. I tak zrana są różowe z odcieniem fioletowym; po południu, gdy słońce w całym przyświeca blasku, odzyskują swoją świetną białość, wpadającą tu i owdzie w odblask perłowy i złotawy, co wygląda nader świetnie. Wieczorem, gdy mrok zapada, piaski te odbijają gorące, jaskrawo ogniste barwy zachodzącego słońca; w owych chwilach wyglądają jak ogniste góry.

Poruszane nieustannie, ciągle przenoszą się z miejsca na miejsce; tę ich pracę najwyraźniéj gołem okiem widzieć można.

Najlżejszy podmuch wiatru poruszający szczyty tych gór ruchomych, wywołuje skutek podobny topnieniu śniegu; piasek osuwa się tworząc owe niepochwycalne tumany w których tyle już karawan śmierć znalazło; a na ileż to jeszcze nowych czatują one ofiar....

Ale wróćmy do Suez. Podczas naszego pobytu była to licha, nadzwyczaj brudna mieścina, nie posiadająca żadnych pomników historycznych, prócz małego domku w którym mieszkał chwilowo jenerał Bonaparte; to też bawiliśmy tu tylko tyle ile tego wymagały niezbędne przygotowania do dalszéj podróży.

Przypływ morza był bardzo znaczny, a że nie mieliśmy laski Mojżesza, więc przebyliśmy morze czerwone w małym statku, w temże samem miejscu gdzie zatonęły hufce Faraona. Wylądowawszy zastaliśmy pyszne dromadery, które vice-król raczył nadesłać Gerome'owi do naszéj dalszéj podróży. Wkrótce mogliśmy ocenić właściwie tę łaskę vice-króla, gdyż dzięki tym nieporównanym wierzchowcom, mogliśmy podróżować daleko prędzéj a tem samem zatrzymywać się dłużéj w miejscowościach, godniejszych widzenia.

Pierwsza stacja była niedaleka; mieliśmy wypoczywać w *Ain-Mussa* czyli u źródła Mojżesza.

Jechaliśmy piaszczystem wybrzeżem pokrytym tak nadzwyczaj miałkim piaskiem, iż daleko mniéj dawała nam się uczuć nużąca jazda na ruchomym garbie dromadera. Wkrótce Suez pozostało za nami kryjąc się po za stromym grzbietem *Djebel-Attaka*. Góra ta mocno czerwona, wznosi się wysoko po nad przystanią i niknie gdzieś w oddali na południowem morskiem wybrzezu, odbijającem jéj jaskrawą barwę. W Suez brakowało wody zdatnéj do picia, i ztąd pięć istniejących tu fontan nader ważne oddawały usługi. Natura gruntu i obecność tych wód bardzo sprzyja bujnéj roślinności; w około źródeł rosną niebotyczne palmy i kępy pięknych drzew i krzewów, miły chłód zapewniające podróżnym. W tem miejscu spędziliśmy pierwszą naszą noc na pustyni.

Jak tylko zatrzymaliśmy się, przewodnicy zajęli się posileniem naszych wielbłądów i dromaderów.

Muszę tu jeszcze nadmienić, iż wielu podróżników mylnie podaje wielbłądy i dromadery jako dwa oddzielne rodzaje zwierząt, gdyż tu ta tylko zachodzi różnica, że wielbłądy są jakby nasze bydło robocze, a dromadery są tresowane wyłącznie do biegu. Nie ma więc między nimi żadnej różnicy rassy, zarówno-jak między koniem wyścigowym a dorożkarskim. Dla nie wtajemniczonych w jazdę na dromaderach dodam jeszcze, że szczególniéj z początku jest nadzwyczaj nużącą, i dużo trzeba przecierpieć za nim się z nią oswoić można.

II.

Tabor nasz podróżny składał się z trzech wielkich i dwóch małych namiotów. Jeden duży namiot stanowił wspólną sypialnię, drugi salon jadalny, a

w trzecim mieściła się kuchnia i wszelkie przyrządy gospodarskie. Dwa małe namioty odstąpione były wyłącznie dla najpoważniejszych z naszego grona, którzy nie chcieli, jak my młodzi, prześpiewać i przetańczyć w około stołów znaczną część każdej prawie nocy. Zazwyczaj zastrzegali oni sobie godziny pracy i spokoju w których nas hałaśników dopuszczać do siebie nie chcieli, i tylko gdy miejscowość nie przedstawiała nic godniejszego uwagi, wpraszali się do naszego wesołego grona, lecz musieli drogo opłacać bilety wejścia.

Z wejrzenia karawana nasza przedstawiała się bardzo poważnie, składała się bowiem z dwudziestu siedmiu wielbłądów i dromaderów. Dziewięciu wybornie wytresowanych dromaderów pochodziło ze stajen wicekróla,—były to nasze wierzchowce. Inne podrzędniejsze przeznaczone były dla przewodników i służby, a wielbłądy dźwigały namioty, słomę i paszę dla siebie i swych współtowarzyszy, gdyż mylnie utrzymują, że wielbłądy mogą długo obejść się bez pożywienia. W rzeczywistości przeszło tydzień mogą wytrzymać bez picia, ale posiłku choćby jak najlichszego potrzebują koniecznie codziennie.

Jeden z wielbłądów dziwił się pewnie niemało szczególniejszej pieczołowitości jakąśmy go otaczali, powodem tego było, iż dźwigał na grzbiecie więcéj jak Cezara i jego losy, bo jedyny nasz przyrząd fotograficzny i niezbędne do niego szkła i przyrządy. Czy to na popasach, czy gdzie tylko natrafiała się cięższa droga, wszyscy staraliśmy się dogadzać mu i pomagać, a że ciężar jaki dźwigał był znacznie lżejszy od innych obciążających garby jego kolegów, mógł więc bardzo mylnie tłomaczyć sobie nasze grzeczności i nadskakiwania, i przypisywać je swéj wartości czy zasługom. Iluż to dygnitarzy sobie samym przypisuje hołdy, odnoszące się jedynie do zajmowanego przez nich stanowiska.

Drugi jeszcze wielbłąd cieszył się także wysoką naszą łaską i względami; dźwigał on znowu naszą kuchnię przenośną i kociołek szwedzki, w którym codziennie zupa nasza sama się gotowała. Gdyby Szwecja żadnych innych nawet nie miała zasług, już za samo obmyślenie tego cudownego kociołka, zasłużyłaby sobie na wdzięczność całego świata.

W skrzyneczce drewnianéj, szczelnie zamykającéj się, obwiniętej wełną, mieści się prosty kociołek, w który kładzie się wszystko co tylko może być potrzebne do sporządzenia zupy lub rosołu, i nalewa odpowiednią ilość wody wrzącéj: poczem starannie zamyka się skrzynkę, i zupa już sama gotować się będzie. Trzeba tylko zważać ile czasu wymaga ugotowanie, gdyż gdyby trzymać za długo, woda musiałaby za nadto lub nawet zupełnie wyparować.

Kuchnię taką można zabrać do powozu, włożyć na konia, osła czy wielbłąda, i gdy nadejdzie czas popasu, zgłodzony podróżny ma w téj chwili gotową smaczną i gorącą zupę.

Prosty ten przyrząd budził podziw i uwielbienie Arabów; działanie jego przypisywali czarom i przechodząc koło wielbłąda dźwigającego kociołek, omijali go jak mogli żegnając się po swojemu. Jeden tylko nasz kucharz, gorąco zamiłowany w swéj sztuce, wyznał iż zrzeka się raju jeśli w nim nie ma szwedzkich kuchenek.

Wkroczyliśmy już tedy w niezmierzoną pustynię, wokoło pustka i jałowość; ani śladu roślinności, gdzie rzucisz okiem widać tylko obszary szarego piasku....

Pod względem ogólnego ukształtowania, półwysep synaicki przedstawia szczególniejsze nagromadzenie łańcucha gór, leżących prawie równolegle i jakby w jedną zebranych wiązkę na krańcu półwyspu. W pośród tych olbrzymich ręką przyrody wzniesionych murów, mieszczą się naturalne łożyska strumieni, powstałych z deszczów i stopionych śniegów. Są to ciasne niziny, podobne do korytarzy zwane przez Arabów *wadis*.

Przejścia te, ciągnące się często na kilka kilometrów, są nadzwyczaj wązkie. Światło odbija się tu tylko z góry o boczne grzbiety gór, i oświetla przejścia, jak małe okienka umieszczone w górze oświetlając nasze piwnice. *Wadis* te mają własność nadzwyczaj głośnego odbijania dźwięków, wzmocnionych jeszcze głuchem milczeniem całéj przyrody; każdy wymówiony wyraz najdziwaczniejszem odbija się echem, kilka osób może narobić tyle hałasu, jak gdyby najliczniejszy przechodził poczet.

Dwa dni wędrowaliśmy przez piaski i kamyki, widząc ciągle przed sobą ten łańcuch gór, do któregośmy zmierzali, bezustannie zdawał uciekać przed nami; nareszcie, o radości! ukazała się szczelina jakby na dwoje rozdzierająca górę, i przez nią dostaliśmy się w te zadziwiające korytarze.

Czas jakiś *wadis* był bardzo wązki, aż nagle inną przybrał postać; ściany dwóch gór rozszerzały się z każdej strony, załamując w kąty proste jakby dwa mury podtrzymywane regularnem podmurowaniem, a ten wybryk przyrody do złudzenia naśladował dzieło rąk ludzkich. Ku końcowi tego bezmiernego korytarza, wyjechaliśmy na grunt piasczysty, z którego wyrastały tu i owdzie nędzne krzaczki pokryte szaremi prawie liśćmi, poruszające się zwolna jak kłaczki wełny za podmuchem wiatru.

Przebywszy pierwszy korytarz, zwany Wadi—*Reiyaneh*, jechaliśmy czas jakiś wybrzeżem morza Czerwonego. W tem miejscu góry zaczynają przybierać koloryt czerwony, zielony i czarny, i najwprawniejsze oko nie zdoła oznaczyć przyczyn tego zabarwienia.

Grunt i skały mogły uledz różnym wstrząśnieniom i rozkładom pod działaniem samego ognia; pomarańczowe i jasno żółte żyły, przerzynają z góry do dołu czerwonawe grzbiety tych naturalnych murów, i z oddali nadają im postać różnobarwnych marmurów.

Przyznaję, że teraz więcej nas zajmował widok morza i nadzieja bliskiej w wodach jego kąpieli. Jakoż zaledwie opuściliśmy *Wadi-Sadr* wielbłądy nasze przyspieszyły kroku i weszły, w wodę po szyję: ludzie i zwierzęta pluskali się razem.

Woda jest tu nadzwyczaj przezroczysta, i owo morze Czerwone, tak straszne w dziejach, dziś wszędzie błyszczy jak kryształ, połyskując zwierciadlaną wód swych powierzchnią. Sam Mahomet byłby zadowolniony z naszych ablucyj, gdyż do późnej nocy siedzieliśmy w wodzie, i z chęcią bylibyśmy w niej rozpięli nasze namioty. Z kąpieli udaliśmy się do namiotów w których usłane łóżka czekały już na nas, i wkrótce dobroczynny sen skleił nasze powieki.

Ale, niestety! niespodziewana burza przebudziła nas nagle. Cały dzień wiał duszący gorący wiatr, obecnie mocne zimno uczuć nam się dało. Huk grzmotów i piorunów wstrząsał naszymi namiotami, trzeba je było silniej poutwierdzać. Ale i to nie na wiele się zdało; nagle zadął wicher tak gwałtowny iż zerwał nasz sypialny namiot, któren uniosłszy się z ziemi poleciał jak balon w kierunku *wadi*, a my, biedni jego lokatorowie musieliśmy biedz za naszym domem....

Uragan szalał noc całą, rano odjazd nasz stał się niemożliwym; wiele drobniejszych przedmiotów z porwanego namiotu zaginęło bez śladu, a przemokły grunt stał się tak ślizgim, iż niepodobna było narażać naszych dromaderów i wielbłądów. Stanęło na tem, iż zatrzymamy się tu cały dzień i noc następną.

Namioty nasze schły rozpięte nad brzegiem morza; my użyliśmy znów rozkoszy morskiej kąpieli, w tem drogman nasz ukazał w oddali pojawienie się dwóch istot ludzkich. Kilku Arabów podeszło ku nim i przyprowadzili ich do naszego obozowiska.....

Byli to dwaj rybacy; przed kilku dniami burza strzaskała ich łódkę. Przez dwa pierwsze dni żyli surowemi rybami, ale już od czterech dni nic nie jedli. Okropnie było patrzeć na nich, prawie nadzy, z oczami wytrzeszczonemi i zapadłemi, wyglądali jak szkielety. Na migi pokazywali, iż umierają z głodu. Doktór otoczył ich troskliwą opieką: zwolna, stopniowo dawał im posilających pokarmów, i pokrzepieni zaczęli odzyskiwać siły. Nazajutrz musieliśmy rozstać się z nimi, ponieważ my mieliśmy w głębszą zapuszczać się pustynię, a oni chcieli wracać do Suez. Żegnając się daliśmy im butelkę wina, dwie butelek wódki i po trzy bochenki chleba; miało im to wystarczyć na tak długą drogę, gdyż nie mogliśmy udzielić więcej z naszych podróżnych zapasów.

Niepodobna opisać wdzięczności tych biedaków, dziękowali nam ze łzami i tysiącznemi obsypali błogosławieństwami.

Puściliśmy się w dalszą drogę. Morze roztaczało się wspaniale; droga była jakby usypana mielutkim piaskiem i błyszczącymi kamykami. Góry wznoszące się z lewéj strony, tworzyły jakby olbrzymie, na piętra podzielone mury; naturalne ustopniowanie kamieni wydawało się jak schody bogatą przyozdobione rzeźbą. Zdawało się że wstępujemy na schody bogatych indyjskich świątyń, jakby cudem pojawiających się przed nami.

W miarę posuwania się na téj drodze, góry stawały się coraz wyższe i w coraz jaskrawsze przystrajały się barwy. Nareszcie opuściwszy morskie wybrzeże, zagłębiliśmy się w wnętrze przerażających zaułków, tak ciasnych i krętych, iż tylko oczy Arabów wyśledzić je zdołają.

Przybywszy do *Wadi-el-Amârah* napotkaliśmy pierwsze źródła wody gorzkiéj, tak częste w tych górzystych okolicach. Utrzymują że wody te są właśnie ową gorzką fontanną *Marah*, którą w przechodzie swoim napotkali Hebrajczycy,—jednak Lepsius nie zgadza się na to. Woda ta w żaden sposób nie da się używać za napój, powierzchnia jéj jest przezroczysta jak zwierciadło; oszukane tą powierzchownością wielbłądy nasze chciały się jéj napić i odskoczyły ze wstrętem. Smak téj wody przypomina bardzo smak wody morza Martwego, jest to coś jakby odwar z zapałek chemicznych.

Obmyliśmy nią ręce i twarze, i skutkiem jéj gryzącego działania powystępowały nam bąble a skóra nasiąkła solą, i nabytków tych ledwie z pomocą naszego lekarza zdołaliśmy się pozbyć.

W *Wadi-Schilla* zabarwienie gór wszelkie przechodzi pojęcie; zdawałoby się, że chyba ręka malarza uskutecznić mogła tę dziwną mięszaninę kolorów. Tu czerwone jak cynober, tam żółte jak okra, a na poszarpanych grzbietach, różne pokłady geologiczne, zielone, niebieskie, fijołkowe, układają się w niepodobne do odtworzenia arabeski. Chcąc się przekonać czy dziwaczna cera tych gór jest naturalną czy sztuczną, czy te niepojęte barwy nie są prostym wynikiem optycznym, postanowiłem z jednym z kolegów wdrapać się na najbliższą. Posądziliśmy je niesłusznie, nie były uróżowane, kolory były zupełnie naturalne, i każdy oderwany kawałek wyglądał jak rozżarzony węgiel.

Zabawiliśmy kilka dni w téj dziwnéj miejscowości, i każdy z nas obowiązał się, odtworzyć wiernie jeden koloryt. Mistrz nasz, (Gérome) wziął dla siebie czerwony i żółty; ja dostałem niebieski, a towa-

rzysz mój zielony. Ani jedna trawka nie rozweselała tej dziwacznie oryginalnéj przyrody, a my wyglądaliśmy jak mrówki rozrzucone po niezmierzonéj przestrzeni.

Drobny szczegół domowego życia, zakłócił spokój naszéj osady; dwóch z naszego grona dostrzegło na sobie dwa owe małe robaczki, z którymi na Wschodzie liczyć się trzeba, a którym dotąd umieliśmy się obronić. Stało się! nadeszła chwila w któréj miały rozgościć się w częściach ubrania najbliższych naszego ciała...

Dwaj nieszczęśliwi zwiastujący nam pojawienie się tych niepożądanych towarzyszów podróży, stali się przedmiotem powszechnéj niechęci; odezwało się nawet kilka głosów, żeby zniszczyć złe w samym zarodzie, choćby pzzyszło otruć dwóch towarzyszy. Ale niestety! nazajutrz nie mieliśmy sobie nic do zarzucenia jedni drugim,—nikt z nas nie był zupełnie wolnym od... egipskich baranków. Jest to rzecz niemal nieunikniona podróżując po dalekim Wschodzie, a przyznać trzeba, że straszny cień rzuca na poetyczne wrażenia.

Z kolei dostaliśmy się na cudowną *Dolinę pisma Wadi—Mokatteb*. Na wysokość dwiestu metrów, grzbiety góry, wypolerowane jak tablica marmurowa są pokryte hieroglificznemi napisami i nadzwyczajne te znaki, przeszło przez trzy kilometry pokrywają obie pochyłości góry, przedstawiając się zdumionym oczom jak dwie niezmierzone, całkiem zapisane tablice...

Pochodzenie tych hieroglifów jest przedmiotem licznych sporów, i wielu już uczonych posiwiało nad tem dochodzeniem. Czerwono—ceglasty koloryt gór dźwigających te napisy, mocniéj jeszcze uwydatnia tę kartę dziejową, wypisaną na grzbiecie gór ręką przyrody.

Minąwszy Dolinę pisma, dostaliśmy się znów w ciasny korytarz. Teraz droga cała podobna była płytom wypolerowanego granitu, co było powodem że *wierzchowce* nasze często się potykały a nawet padały. Z ciasnego wąwozu wyłoniła się nagle wspaniała dolina, roztaczająca się około najwyższéj z napotykanych dotąd gór, ale droga ciągnąca się wśród niéj zasypana była ostremi kamykami, kaleczącymi nogi naszych dromaderów.

Przed nami roztaczał się jeden z najpiękniejszych krajobrazów pustyni. Góra *Serbal* wznosiła się po nad inne ją otaczające; dolina, pochylając się nieznacznie dochodziła aż do morza powyżéj Thor, a głębokie poprzerywanie gruntu i podmycie skał, dowodziło czystości wód, które w epoce deszczów z gwałtownym pędem spadają w dolinę.

Tu natura gruntu zmienia się nagle; ujrzeliśmy znowu piękne krzewy i krzaki srebrno listne jako zwiastuny bujniejszéj wegetacyi, a po za nimi wyłaniały się drzewa i wysokie palmy, które jakby rozsuwając skały, pokazywały piękne swoje bukiety.

Ta piękna oaza jest jedyną urodzajną wadi półwyspu Sinaï, nazwa jéj *Wadi—Faran*. Nieco daléj wjechaliśmy w prześliczny las palmowy, wpośród którego szemrał srebrzysty strumień. Pod cieniem palm kryły się lepianki z ziemi, małe nizkie chatki, zapuszczane niekiedy tak głęboko, iż dachy nawet nie sterczały po nad drogą, a to z powodu, że w tych okolicach dusząće gorąca i wielkie zimna następują po sobie jak najniespodziewaniéj.

Gdzie rzucić okiem wszędzie tak cudowne przedstawiały się krajobrazy, iż jednozgodnie postanowiliśmy zabawić tu kilka dni, aby je przenieść na płótno. Wszyscy gorliwie zabraliśmy się do pracy.

Pewnego poranku, z jednym z współtowarzyszy, wdrapaliśmy się na wysoką górę, przez ciekawość jaki też widok nam się z niéj przedstawi. Obozowisko nasze, z téj wysokości wydawało się jak trzy białe plamy wśród drzew zieleni; kształtu przedmiotów prawie rozróżnić nie było można, ale za to słyszeliśmy doskonale całe rozmowy naszych kolegów, jak mówiąc o nas surowo potępiali naszą nieroztropność.

Odpowiadaliśmy bardzo energicznie, ale ani jeden z wyrzeczonych przez nas wyrazów, nie doszedł ich uszu. Jakież było zdziwienie pozostałych kolegów, gdy powróciwszy powtórzyliśmy im co do słowa wszystko co mówili o nas. Zejście z góry tak było trudne, iż nie tylko poszarpaliśmy ubranie ale i ciało.

Ukończywszy szkice krajobrazów, zwiedziliśmy tu i owdzie sterczące jeszcze ruiny egipskie, poczem opuściliśmy *Wadi-Faran* udając się już wprost ku Sinaï.

Ostatnia stacja przed Sinai, nazywa się *Wadi-Solaf*, (wąwóz wichru) przebycie jéj jest nadzwyczaj ciężkie i nużące. Droga wije się w rozpadlinach gór, radzi nie radzi musieliśmy zsiąść z dromaderów, które i tak zaledwie zdołały utrzymać się na nogach

Gdyśmy nareszcie znużeni niewypowiedzianie wydostali się na *wadi*, widok roztaczający się przed nami, wynagrodził nam doznane trudy. Wspaniała Sinai wznosiła ku niebu dumnie swe czoło, a poważny jej profil rysował się wyraźnie na tle gór ją otaczających. *Djebel-katerin* budzi podziw ogromem swych rozmiarów; wielu uczonych uganiających się za nowością i zaprzeczaniem podań historycznych, utrzymują że właśnie *Djebel-katerin* jest ową Sinai wspominaną w Piśmie świętem.

Na lewo, nadzwyczaj wysoko, sterczą białe ruiny, szczątki pałacu wzniesionego niegdyś w tych niedostępnych strefach, przez Abbas—Paszę.

Minąwszy *Djebel-katerin*, zawróciliśmy w dolinę ciągnącą się u stóp gór Horeb i Sinai. Stąd ukazał nam się, niby mała furteczka, klasztor przyczepiony do stromego grzbietu świętéj góry, a drzewa i kwiaty zdobiące piękne jego ogrody, dziwną tworzyły sprzeczność z roztaczającą się wokoło jałową przyrodą, tak straszne budzącą wspomnienia.

Rozłożywszy nasze namioty w pobliżu klasztoru, wypocząwszy nieco, pospieszyliśmy odwiedzić jego mieszkańców.

III.

Klasztor Sinaiski jest najdziwniejszą mięszaniną najrozmaitszych budowli, począwszy od architektury byzantyńskiéj aż do tegoczesnéj sztuki arabskiéj. Olbrzymie mury najeżone wieżycami i podmurowaniami, nadają mu postać fortecy, ogół budynków ma kształt czworokątny, zastosowany do pochyłości góry o którą się wspiera. Patrzącemu z dołu zdaje się jakby klasztor zamierzał wedrzeć się na szczyt Sinai i powstrzymany niewidzialną siłą, zawisł w przestrzeni przyczepiony do grzbietu góry niby orle gniazdo.

Cały ten klasztor z zabudowaniami i przyległościami swemi wygląda jak ogromna warownia, która zapewne nieraz była napadana, i nie jedno wytrzymała oblężenie od hord arabskich, pragnących zagarnąć nagromadzone w nim skarby. Patrząc nań przypominamy sobie owe średniowieczne warowne zamki, w których mieszkańcy ich i właściciele całe życie przeżyli zamknięci, wychodząc tylko na wojaczkę.

Mury są nadzwyczaj wysokie; z jednéj strony, na samym wierzchu muru znajduje się koło opatrzone wielkim koszem, który zakonnicy spuszczają za pomocą lin. Dawniéj nietylko ciężary i drzewo ale także i podróżnych tym koszem wciągano; dziś chęć nowości wdarła się aż za kraty klasztoru synaiskiego, i zakonnicy urządzili sobie ogromne drzwi podwójne, przez które i sami wychodzą i podróżnych wpuszczają, koszem zaś wciągają tylko drzewo dostarczane im przez Arabów za małe wynagrodzenie.

W dnie oznaczone schodzą się biedni, należący do okolicznych pokoleń arabskich, i dostają z klasztoru jałmużnę składającą się z chleba i ryżu; zakonnicy spuszczają im koszem wyznaczoną jałmużnę, która tym sposobem rzeczywiście jakby z nieba im spada.

Żałowaliśmy bardzo żeśmy nie mogli jak dawniejsi podróżnicy koszem dostać się do klasztoru; cóż było robić, musieliśmy wejść drzwiami. Wszedłszy oznajmiliśmy, że pragniemy złożyć nasze uszanowanie przełożonemu. Przyjmujący nas zakonnik powiedział nam, iż tenże znajduje się w bibliotece i prosił abyśmy przeszli do sali gościnnéj, gdzie niebawem nadejdzie. Aby się tam dostać, musieliśmy przejść kilka pochyłości i wysokich bar dzo schodów, oraz krętych i ciemnych korytarzy, zkąd weszliśmy jakby na pomost prowadzący do drugiego rzędu budowli, tworzących jakby małe miasteczko. zbudowane po nad pierwszem, niżéj położonem. W środku zabudowań znajdował się obszerny dziedziniec przyozdobiony trzema wielkimi cyprysami; ztąd znów przechodziliśmy różne przejścia i zakręty, aż nareszcie dostaliśmy się na schody drewniane, wyglądające jak wielka drabina, spróchniała i ślizga, a po za niemi ukazały się nareszcie małe drzwiczki prowadzące do wielkiéj nisko sklepionéj sali, z oknami z jednéj strony na ogród z drugiéj na dziedziniec.

Oczekując na przełożonego, zaczęliśmy bacznie przyglądać się sali i wszystkiemu co się w niéj znajdowało. Jakaż to dziwna była mięszanina! Godła religijne, krzyże i wizerunki Chrystusa, święte obrazy, portrety popów, greckie napisy i najprostoduszniejsze *ex vota* obok stosu różnych przyrządów do ściągania butów, fajek z najdziwaczniejszymi cybuchami, i kapciuchów z ozdobami wcale nie biblijnemi.

Szczególniéj nas zajęły stojące na stoliku pudełka do zapałek z fabryki francuzkiéj, ozdobione kolorowanemi fotografiami aktorek z teatrów bulwarowych. Znaleźć portrety panny Schneider i Teressy w klasztorze na górze Sinai—już i Offenbach nie wymyśliłby nic pocieszniejszego!

Kiedy po poważnem powitaniu, przełożony prosił, abyśmy zapalili cygara i sam podawał nam zapałki, zaledwie zdołaliśmy powstrzymać się od śmiechu. Jeden z nas młodszych chciał zapytać go, czy to portrety familijne, ale zwróciliśmy jego uwagę, że byłoby to trochę niedyskretnie, gdyż kostiumy były tak *lekkie*, iż nawet w dawnéj Grecji nie wymyślono nic podobnego.

Przełożony i towarzyszący mu zakonnicy przyjęli nas bardzo uprzejmie, ale rozmawialiśmy się tylko przez drogmana i na migi, gdyż nie posiadaliśmy ani arabskiego, ani greckiego języka. Przełożony mógł mieć lat około 60, rysy wyraziste i włosy białe jak śnieg; długa biała broda spadająca mu do pasa, pięknie odbijała od długiéj, fałdzistéj czarnéj sukni. Jak zwykle duchowni obrządku greckiego, miał na głowie rodzaj mitry, z wielkim czarnym welonem spadającym na plecy, który szyję i ramiona ochraniał od spieku słońca. Wszyscy towarzyszący mu zakonnicy byli także w dość podeszłym wieku, wyraz ich twarzy znamionował prostotę, łagodność, a poważny strój nadawał im wielkie podobieństwo z obrazami dawnych patryarchów kościoła byzantyńskiego, zdobiących ściany sali. Do modlitwy używają tylko ogromnego różańca i ksiąg z psalmami w języku arabskim i greckim.

W bibliotece zakonnéj mieści się bardzo wiele nader rzadkich i szacownych rękopismów, a światlejsi zakonnicy wiele poświęcają czasu uczonym nad

niemi badaniom. Zazwyczaj podróżni nie mają do niéj wstępu, nam jednak, jako malarzom i do tego przybywającym na dromaderach vice-króla, pozwolono ją zwiedzić. Przełożony sam nas oprowadzał, obmiatał z kurzu i pokazywał najciekawsze pargaminy i papiery.

Szczególniéj zajęły nas Żywoty Świętych ozdobione malowaniami i portretami, odznaczającémi się wielką poprawnością rysunku i żywością kolorytu. Już same znajdujące się tu rękopisma, wynagradzają trudy podróży; pozwolono nam długie godziny spędzać wpośród tych arcydzieł, i nieomieszkaliśmy korzystać z téj niezwykłéj łaski. Tu po raz pierwszy zachwyciło mnie malowanie gwaszami i kolorowanie na złotem tle, przekalkowałem sobie najstaranniéj kilka tych cudnych wzorów. Pokazano nam także cztery ewangelje wypisane podobno w całości ręką cesarza Teodozjusza. Są tu także prześliczne oprawy ksiąg, odznaczające się wykończeniem i bogactwem; niektóre są pięknie bardzo rzeźbione z drzewa, i bogato nabijane złotem i srebrem.

Nacieszywszy się nieocenionemi skarbami biblioteki, prosiliśmy aby nas oprowadzono po całym klasztorze i świętych miejscach do niego należących.

Obok głównego kościoła, klasztor posiada mnóstwo oddzielnych kaplic, każda pod założeniem jakiegoś świętego; wszystkie łączą się z sobą korytarzami, na które wychodzą cele zakonników, tak, że każdy prawie posiada tym sposobem jakby oddzielne swoje oratorjum.

Główny kościół zawiera także wiele bardzo kaplic; ambona jest ozdobiona bogatemi rzeźbami. W chórze wznosi się ogromna figura Chrystusa, otoczona obrazami jaskrawo malowanemi na tle złotem. Od sklepienia spuszczają się pięknie wyrobione lampy mosiężne i srebrne, niektóre bardzo kosztowne. Trudno oznaczyć stanowczo rodzaj architektury tych budowli; jedne są w stylu bizantyńskim drugie w stylu romańskim, obok ozdób bardzo starożytnych widnieją odnawiania najzupełniéj tegoczesne. Utrzymują, że kosztowne znajdujące się tu mozajki, pochodzą z dawnego kościoła S. Zofji; nie byłoby to niepodobnem, gdy dziś meczet ten jest bardzo zniszczony i widocznie ogołocony z wielu pierwotnych ozdób.

W tem nagle oprowadzający nas zakonnicy nader poważne przybrali miny, i oznajmili nam uroczystym głosem, iż wstępujemy do świętego miejsca w którem Bóg objawił się Mojżeszowi. Według ich twierdzenia, ołtarz téj kapliczki stoi w tem właśnie miejscu, gdzie wznosił się krzak gorejący; dziś przedstawia go lampa, któréj płomień o złotą odbija się blachę. Gęsta zasłona kryje jéj światło przed okiem profanów.

Jest to bez zaprzeczenia najgodniejsza widzenia i najbogatsza kaplica z całego klasztoru. Kolorowe szyby nie przepuszczają zbyt jasnego światła, które wiele odjęłoby uroku świętemu miejscu. Posadzka pokryta jest cała perskiemi dywanami; wchodząc zdjęliśmy obuwie, jak to kiedyś uczynił Mojżesz, gdyż przed objawieniem usłyszał głos: *Mojżeszu! nie przystępuj, a zdejm obuwie z nóg twoich, miejsce bowiem na którem stoisz, ziemia święta jest* (*).

Opierając się na tych słowach biblji, Mahomet rozkazał swoim wyznawcom, aby zdejmowali obuwie wchodząc do meczetów.

W jednéj z przyległych kaplic, zostającéj równie jak cały klasztor, pod wezwaniem Ś. Katarzyny, pokazano nam dwie skrzynie drewniane w których mieszczą się trumny srebrne, nadzwyczaj kosztowne i misternie wykończone. Te prawdziwe dzieła sztuki, inkrustowane emalją, złotem i drogimi kamieniami, są darem cesarzowéj Katarzyny; w jednéj trumnie mieszczą się relikwie św. patronki téjże monarchini, w drugiéj drogocenne klejnoty i kosztowności, ofiarowane przez znakomitych pielgrzymów i magnatów rossyjskich. Tu oglądaliśmy własnémi oczyma jakby bajeczne skarby z *„Tysiąc nocy i jedna"*; nie jednokrotnie już Arabowie kusili się o ich zdobycie, ale czujność zakonników a szczególniéj niezdobyte mury klasztoru, udaremniały zawsze ich zachcianki.

Wychodząc z kościoła, zakonnicy pokazali nam sterczące w pobliżu ruiny meczetu, wzniesionego wewnątrz klasztoru, na konieczne domaganie się władzy tureckiéj, jako znak jéj wszechwładztwa i podległości zakonników, lecz że Arabowie nie mają tu wstępu, więc nagi szkielet mahometańskiéj budowli coraz więcéj chyli się do upadku, a rząd na to patrzy przez szpary, byle była kopuła uwieńczona półksiężycem.

Nazajutrz odbyłem pielgrzymkę do stóp góry Horeb, gdzie się znajduje owa cudowna skała, z któréj podwójnem uderzeniem swéj laski Mojżesz wyprowadził zdrój żywéj wody. Do dziś dnia widać wyraźnie pięć otworów jeden nad drugim, i długie rowki prostopadłe wydrążone spadkiem wody. Nie co opodal urządzony jest niewielki ogródek, a w nim mała zniszczona kapliczka, na któréj ścianach wiszą obrazy allegoryczne, przedstawiające główne ustępy z Genezy i z życia Mojżesza.

Zakonnicy często odwiedzali nas w naszych namiotach, i zasięgaliśmy od nich wiele ważnych bardzo objaśnień o kraju i drodze jaką jeszcze mieliśmy przebyć do Akabah.

Dzięki hojnéj jałmużnie jaką rozdają, zakonnicy ci wielkie mają poważanie w pośród plemion arabskich, które niejednokrotnie zasięgają od nich rady i obierają ich za swoich sędziów polubownych, Wyrok wydany przez nich jest nieodwołalnym. Gdyśmy mieli odjeżdżać, wielbłądnicy nasi pokłócili się okropnie, i nie wiem na czemby się było skończyło, gdyby nie wdanie się zakonników, którzy kilku słowami całą zakończyli sprawę.

Dolina leżąca wpośród gór Horeb i Sinaï posiada ten nieszczęsny przywiléj krajów górzystych, iż naprzemian dokuczają tu ogromne mrozy i straszne upały. Zaraz po przybyciu dostrzegliśmy szron biały w załamaniach skał, gdzie słońce nie dochodziło; przyznacie czytelnicy, że to rzecz dość niezwyczajna stąpać po śniegu, kiedy temperatura dochodzi 38 stopni gorąca, a noce i poranki, zanim słońce wybije się z po za gór i roztoczy swe dobroczynne promienie, są tak zimne, iż bez futra obejść się trudno.

Zaraz druga noc po naszym przybyciu tak była mroźna, iż musieliśmy rozpalić wielki ogień, na który złożyły się wszelkie jakie tylko były w dolinie krzewy, krzaki i korzenie. Płomień buchał nadzwyczaj wysoko, rzucając fantastyczne odblyski na grzbiety Sinaï. Śliczny, wspaniały to był widok! Wielbłądni cy cisnęli się do nas, a biedne zziębnięte dromadery i wielbłądy, pokładły się jedne na drugich, aby choć tym sposobem ogrzać się trochę. Rano postrzegliśmy, że woda nasza pokryła się dwanaście centymetrów grubą skorupą lodu, i musieliśmy iść do klasztoru żeby się umyć. Teraz zrozumieliśmy dla czego zakonnicy pourządzali kalorifery w swoich celach.

(d. c. n.)

(*) Księgi Mojżeszowe, Rozd. III. 4, 5.

Korespondencja

Krzeszowice w końcu Sierpnia.

Kąpiele krzeszowickie, oddalone tylko o dwie stacje drogi żelaznéj od Krakowa, zgromadziły tego roku znaczną ilość chorych, a jeszcze większą zdrowych. I w istocie, zdrowy, uciekający z dusznéj atmosfery miejskiéj, z zamkniętych murami kamienic, rozpalonych chodników na szmaragdowe, orzeźwiającem powietrzem owiane łąki, zieleniste gaje, nie może znaleźć dogodniejszego i milszego schronienia. Zaciszne Krzeszowice, położone śród wieńca rozległych borów, zasłonięte niejako niémi od reszty świata, posiadające rozległe, przepyszne łąki, cieniste aleje, piękny ogród kwiatowy i spacerowy, ozdobione gustownemi budowlami, połączone koleją i telegrafem z całym światem, są miłym zaciszem zakątkiem. Źródła tutejsze zawierają w sobie żelazo, jod i siarkę, a ich skuteczność w wielu bardzo chorobach została stwierdzoną. Myślę jednak, że gdyby nawet Krzeszowicom zbywało na téj zbawczéj i zdrowiodajnéj wodzie, zawsze ściągały do siebie swém czarującém połączeniem i pobliskością najpiękniejszych miejscowości, licznych miłośników pięknéj przyrody, a mianowicie z poblizkiego Krakowa. Co więcéj, życie tu tanie, tańsze niż gdziekolwiek indziéj u wód, sprowadza tych których fundusz nie pozwalają na wielkie wydatki. Uniżony wasz sługa ma obszerny pokój w „Łazienkach" na pierwszem piętrze za 15 reńskich (10 rubli) z meblami, obiad wcale niezły za 60 centów (40 kop.) kąpiel jedna kosztuje 35 centów (23 kop.)

Bawi tu, już corocznie, sędziwy autor Mohorta W. Pol. bawi i innych osób niemałe grono, a wszyscy patrzą z poszanowaniem i współczuciem na niewidomego poetę pragnąc, choć chwilkę przepędzić w jego miłem towarzystwie.

Ten ogólny szacunek pełen powagi, ujmuje i rozrzewnia zarazem. Któż bowiem nie zna jego cudnych pieśni, wysnutych jakby z serc wszystkich w jeden splot złączonych?

Zdarzają się jednak wyjątki, niestety! Przez dni kilka bawił tu jakiś jegomość, młody, barczysty, wąsaty, polujący na serduszko młodéj panienki a raczéj na jej posag dość okaźny jak mi powiadano. Sądząc z powozu czterokonnego i lokaja w strzeleckim przystroju w kapeluszu stosowanym z zielonem piórem i kordelasem przy boku, młodzieniec ów musiał należéć do zamożnéj klassy hrabiów galicyjskich. Patrzyłem więc na niego z etykietalną grzecznością, podziwiając śmiałość i pewność siebie. Raz znaleźliśmy się przy sobie podczas obiadu.

— Kto jest ten niewidomy staruszek, zapytał młodzieniec, co tak wszyscy patrzą na niego jak na rarogą?

— To Wincenty Pol, odrzekłem, nasz poeta....

— A! przypominam coś sobie, odrzekł ziewając, ale co on napisał?

Dalszéj rozmowy nie powtórzę, ale niespodzianka podobna nie była ostatnią.

Przed banhofem stała młoda jakaś dama rozmawiając z jakim obywatelem ziemskim. W tem zbliżył się do niego młody mężczyzna i przywitali się z sobą bardzo serdecznie.

— Kto jest ten pan? zagadnęła niecierpliwie obywatela, spostrzegłszy oddalającego się od niego przybysza, z którym tenże przed chwilą właśnie rozmawiał.

— Jestto pan B—odrzekł zagadnięty—znany pani zapewne autor wielu powieści i komedji, granych na wszystkich niemal naszych scenach.

— Nie znam, odparła z angielską flegmą młoda osoba.

— Tak, może nie osobiście, ale z pism bezwątpienia.

— Nie czytałam.

— Pani, zdaje się, nie jesteś obeznaną z naszą literaturą, ciągnął nudny obywatel w obronie swego znajomego.

— Przeciwnie, sama piszę.

Chciałem wejść w bliższą pogawędkę z tą cudowną panią, która nie czyta tylko pisze, ale pociąg nadszedł i wszystko się rozpierzchło. Za fakta ręczę, są one bardzo smutne, ale jeżeli są krytycy nie czytający tego co z błotem mieszają, dla czegóżby nie miały być autorki, nieznający tego co inni napisali?

Wł. M.

Rozmaitości.

Kobiety nauczycielki. W czasopiśmie angielskiem *Macmillais Magazin* znajduje się zajmujący artykuł o kobietach profesorach:

W 1732 roku Laura Bassi w Bolonji otrzymała katedrę filozofji naturalnéj i lat 6 ją zajmowała. Była zamężną i miała kilkoro dzieci. W 1750 Agnetti mianowaną została profesorem matematyki przy uniwersytecie bolońskim. Przetłómaczyła kilka dzieł naukowych i napisała wstęp do wyższéj analizy matematycznej, który na angielskie tłómaczono. Zajmowała katedrę przez lat 20, potem wstąpiła do klasztoru, gdzie umarła. mając lat 80. W 1794 Klotylda Tamburi została profesorem, języka greckiego przy uniwersytecie bolońskim. Przekonania polityczne zmusiły ja do opuszczenia katedry po czterech latach. Po wybuchnięciu rewolucji przyłączyła się do konserwatystów i stała się rojalistką. Udała się do Hiszpanji dla prac naukowych. Powróciwszy do Włoch mianowaną została przez Bonapartego, który jéj przekonania polityczne przebaczył, profesorką języka greckiego przy uniwersytecie medyjolańskim. Około roku 1817 Madonna Mangolina miewała lekcje anatomji w uniwersytecie bolońskim.

Pokazuje się, że nie dziś dopiero, kobiety do naukowych dobijają się katedr.

Różne wiadomości.

Szkoły żeglarskie. St. Petersburgskie nadzwyczajne zebranie gubernjalne ziemskie, na posiedzeniu 29 maja roztrząsało między innemi, przedstawienie zarządu gubernjalnego o urządzeniu w gubernji szkół marynarki. Kilka lat temu, zebranie gubernjalne zatwierdziło propozycję komitetu wychowania publicznego, aby opracować kwestję co do urządzenia w gubernji niższych szkół specjalnych, w celu rozwinięcia przemysłu miejscowego. Ze wszystkich istniejących w gubernji przemysłów, dla których szkoły specjalne są najpotrzebniejsze, zarząd wybrał przemysł żeglugi morskiéj—ze względu na szczęśliwe skojarzenie się wielu sprzyjających warunków, czyniących ten przemysł szczególniéj ważnym dla gubernji, jako to: wielkich przestrzeni nadbrzeżnych, niedogodności rolnictwa, znajdowanie się na miejscu drzewa dla budowy statków itd. Ludność nadbrzeżna gubernji chociaż się zajmuje żeglugą, ale głównie rzeczną i w części przybrzeżną; żeglugą zaś dalszą, t. j. najkorzystniejszą, zajmuje się drobna bardzo część ludności, używająca do tego nie więcéj jak 15—25 statków żaglowych. Jedna z głównych przyczyn tego zjawiska zawiera się w tem, iż ludność nadbrzeżna nie posiada wiadomości potrzebnych dla żeglugi przybrzeżnéj, a szczególniéj dla dalekiej. Dla tego zarząd gubernjalny poczytywał za niezbędne, idąc za przykładem innych krajów Europy, urządzić, wzdłuż brzegów, szkoły żeglugi morskiéj dla dania masie ludności nadbrzeżnéj koniecznych jej wiadomości teoretycznych. Konieczność takich szkół, podług słów zarządu, uznaną jest i przez sam rząd, który jeszcze w 1867 r. postanowił wyznaczyć wsparcie ze skarbu, w wysokości od 500 do 1,000 rub. na każdą szkołę, otwartą przy jakich bądź ofiarach ze strony ludności miejscowej. Pragnąc bliżej obeznać się z teraźniejszem położeniem przemysłu morskiego w gubernji, zarząd zwrócił się do p. Woldemara, znanego ze swej działalności w tym przedmiocie i prosił go, aby przy pomocy zarządów miejscowych, zbadał nadbrzeże gubernji petersburgskiéj, oraz miejsca zamieszkania żeglarzy morskich, rzecznych i rybołowców. Sprawozdanie przedstawione przez p. Woldemara zarządowi gubernjalnemu, stwierdziło i uzupełniło te wiadomości, które zarząd już miał do rozporządzenia i ostatecznie przekonało go o konieczności urządzenia szkół żeglugi dla nadbrzeżnych mieszkańców gubernji. Z tego powodu zarząd przyszedł do konkluzji, że udział w tej rzeczy instytucji ziemskich przyniosłby niewątpliwą korzyść mieszkańcom nadbrzeżnym, których liczba w gubernji dochodzi do 25 tysięcy. Ponieważ podniesienie tej kwestji zeszło się jednocześnie z obchodem 200-letniego jubileuszu Piotra Wielkiego, przeto naprowadziło to zarząd na myśl połączenia imienia Wielkiego Cesarza, któremu gubernja zawdzięcza swe znaczenie, z instytucją mającą na celu rozwinięcie przemysłu, który był tak bliskim sercu genjalnego przekształciciela Rosji. Dla tego zarząd projektowałby nazwać proponowane szkoły—„szkołami Piotra Wielkiego“. (*) Przedstawienie zarządu nader kategorycznie rozwinięte zostało na zebraniu przez prezesa jej, barona P. L. Korfa. Powołując się między innemi, na to spółczucie, z jakiem przyjęte zostaną proponowane szkoły przez mieszkańców miejscowych, baron Korf odczytał deklarację; otrzymaną od stowarzyszenia rybackiego włościan, którzy proszą zebranie o otwarcie jednéj ze szkół w ich miejscowości. Po dalszych, niezbyt długich rozprawach zebranie zatwierdziło przedstawienie zarządu i otworzyło mu kredyt, w wysokości 1,500 rs. na wypadek, jeśli rząd asygnować będzie mniej jak 1,000 rs. na każdą szkołę. Oprócz tego, na wniosek P. A. Korgujewa, zebranie poleciło zarządowi zebrać wiadomości o przyczynach, przeszkadzających rozwojowi przemysłu morskiego, a zarazem postarać się o ich usunięcie.

(*) Zarząd proponował otworzyć trzy szkoły.

KORESPONDENCJA.

Panu D. R. Bajki z Wieńca odesłane odebraliśmy, ale ich nie możemy pomieścić ani w Tygodniku Mód ani w Przyjacielu Dzieci.

Pani Stani..... w Chodźkach—pieniądze odebraliśmy, ale adres nie został przysłany, nie wiemy więc gdzie Przyjaciela Dzieci posyłać.

Panu Waleremu Ż..... w Taganrogu. Rubli osiem według rozporządzenia doręczone zostały biednéj, choréj i wiekiem obarczonéj matce zmarłego artysty Bulińskiego, za które prosiła o przesłanie: Bóg zapłać! Osobom miłosiernym polecamy tę staruszkę mieszkającą przy Ulicy Nowolipie N. 20.

Pani Sucho: Od kupna książki pozostało kop: 62.

Pani Kostancji La: Sztuka gronostai kosztuje. rs. 1 kop. 50.

N. 35. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera.—Nauka moralności.—Wątpliwości Marylki, przez Teressę Jadwigę. - Sen, (wiersz) Antoniego Pileckiego.—Sławna uczta w Krakowie, przez Bronisławę.—Czyny nauczające, ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj. Kanton, przez M. T. (z ryciną).— Wodociągi, przez M. S. (z ryciną)—**W dodatku:** Przygody Ryszarda angielskiego. Opowiadanie historyczne, ułożone z powieści angielskich pisarzy. (Ciąg dalszy),

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

— Filipie! szepnęła.

Rozpromieniony usiadł u nóg jéj i teraz zaczęła się rozmowa z serca do serca; przypominali sobie dziecinne lata i szczęśliwéj młodości chwile, pierwsze łzy spowodowane rozłączeniem i potem tyle, tyle smutków i boleści, że ich i zliczyć było niepodobna.

Ani się spostrzegli jak wybiła godzina dziewiąta i wszedł do sali delegowany Kommuny, którego nieobecność była powodem, iż więźniowie spędzili noc w wielkiéj wydziałowéj sali. Zbliżył się do Filipa i Dolores, przeprowadził pierwsze summaryczne badanie, wysłuchał słowny raport dowódzcy patrolu który ich aresztował, sporządził dorywcze sprawozdanie, i wydał rozkaz, aby zaprowadzono Dolores do Conciergerie, a Filipa do więzienia Madelonnettes.

— Czyż nie moglibyśmy oboje w jednem pozostać więzieniu? zapytał Filip przerażony tak prędkiem rozstaniem.

— Komitet postanowi o tem, lecz obecnie zmuszony jestem was rozłączyć.

Filip zbliżył się do Dolores.

— Bądź spokojna ukochana, nie trać odwagi, da Bóg niedługo połączemy się z sobą.

W téj chwili wszedł mały oddział żandarmów mający odstawić Dolores do Conciergerie. Czyniąc zadość jéj życzeniu zawołano fiakra, usiadła w głębi, obok niéj i na przodzie trzech żandarmów, a dwóch jeszcze na koźle i za powozem. Do Conciergerie trzeba było jechać około pałacu Sprawiedliwości, na stopniach którego, w pobliżu drzwi więzienia, stały liczne gromady kobiet czyli raczéj owych jędz zwanych *pończoszniczkami (tricoteuses)*, które przychodziły tam codziennie przypatrywać się konwojowi na śmierć skazanych. Gdy Dolores wysiadała z powozu, obmierzłe jędze zaczęły wyć i krzyczeć, klaskać w ręce i miotać straszne obelgi i zniewagi; hurmem rzuciły się ku niéj, i gdyby nie otaczająca eskorta, nie dałyby jéj dojść do więzienia. Nareszcie drzwi się otwarły, zaprowadzono ją do kancelarji, w któréj siedział urzędnik obowiązany zapisywać nazwiska przybywających więźni; wciągnąwszy do księgi jéj stan, wiek, imię i nazwisko oddano ją pod straż odźwiernego w którego oddziale miała być pomieszczoną.

— Mam dwie prośby do ciebie, obywatelu, rzekła Dolores.

— Czego żądasz obywatelko?

— Najpierw, jeźli to być może, proszę wyznacz mi oddzielną celkę; zapłacę chętnie za tę dogodność.

— Trudna to rzecz, ale pomyślemy o tem. Czegoż więcéj żądasz.

Zachęcona ludzkiem obejściem dozorcy rzekła: Chciałabym napisać do jednéj z drogich mi osób, czy zechcesz obywatelu podjąć się doręczenia listu?

— Do kogo?

— Do obywatela Coursegol'a, mieszkającego u obywatela Vauquelas, gdzie i mnie zaaresztowano w czasie jego nieobecności. Oddam list niezapieczętowany abyś wiedział, że nie zawiera nic przeciwnego przepisom.

— Dobrze, obywatelko, odrzekł nadzorca zdjęty współczuciem dla téj cudownie pięknéj dziewicy; a teraz zaprowadzę cię do oddzielnego numeru, gdzie będziesz mogła list napisać.

Weszli na drugie piętro; nadzorca otworzył drzwi do małéj izdebki, oświetlonéj maleńkiem, wysoko umieszczonem, zakratowanem okienkiem, wychodzącem na podwórze.

— Tu możesz siedzieć spokojnie, obywatelko, nikt ci nie przeszkodzi. Wszyscy więźniowie jadają wspólnie w refektarzu; wolno jednak jadać w swéj celi, za opłatą 6 fr. dziennie.

— Dopiero gdy list mój będzie doręczony, nadeślą mi pieniędzy; przy sobie nic nie mam, resztę oddałam na opłacenie fiakra.

— Pokredytuję ci, odrzekł nadzorca;—no, no, nie dziękuj mi, przecież należy sobie pomagać o ile można. Teraz pójdę po papier, kałamarz i pióro.

Niebawem przyniósł żądane przedmiota; Dolores napisała kilka wierszy do Coursegol'a, donosząc, że została aresztowana razem z Filipem, i prosząc aby jéj przysłał trochę pieniędzy. Nadzorca przyrzekł, że list dziś jeszcze będzie doręczony i odszedł.

Zostawszy sama, Dolores padła na kolana, i zaczęła modlić się za Filipa; nigdy może nie kochała go tyle jak w téj chwili. Więzienie wydawałoby jéj się rajem, gdyby je mogła podzielać z ukochanym.

Długie godziny przesiedziała samotnie, dziwiąc się sama, że tak dziwny spokój panował w jéj sercu i umyśle. Oddana myślom przywodzącym jéj nieustannie nieśmiertelne nadzieje, jakie budzi w duszach chrześcijańskich przewidywanie bliskiéj śmierci. uniesiona w wyżyny sfer idealnych, do jakich podniosły ją straszne następstwa wczorajszych wydarzeń, oraz tak wnikające do głębi jéj duszy wyznania Filipa i wyjawienie mu tak długo tajonych uczuć własnych, uważała życie za rzecz tak marną, tak niegodną siebie, że jego utraty nie ma co żałować. Nad wieczorem wszedł nadzorca z oznajmieniem, że list nie mógł być doręczony, gdyż Coursegol nie mieszka już u Vauquelas'a i niewiadomo gdzie się obraca.

Wiadomość ta mocno przeraziła Dolores; domyślała się, że Coursegol musiał ostremi wymówkami rozgniewać Vauquelas'a, i obawiała się z tego złych dla niego następstw; a nadto teraz była pozbawiona wszelkich zasobów pieniężnych, bez których niepodobna było myśleć nawet o jakiejśkolwiek uldze. Nadzorca ulitował się nad jéj smutną dolą; nie rzadko się wówczas zdarzało spotykać zacne i szlachetne serca, wpośród tych ludzi obowiązanych strzedz i pilnować więźniów, powierzonych ich nadzorowi.

— Nie kłopocz się, obywatelko, rzekł, będziesz miéć dobre życie i ten oddzielny pokoik, byle tylko inspektorowie przeciwnego nie wydali rozkazu.

Dolores zdjęła krzyżyk brylantowy, który miała na szyi, i rzekła podając go nadzorcy.

— Niech to służy za rękojmię poniesionych na mnie wydatków; jeśli umrę, zachowasz go sobie, jeśli wyjdę z więzienia, sama wykupię go od ciebie.

Wzbraniał się przyjąć ofiarowany klejnot, w końcu jednak uległ naleganiom dziewicy.

Cały ten dzień spędziła samotnie w swéj izdebce, nad wieczorem nadzorca przyniósł jéj skromny z dwóch niepozornych potraw złożony posiłek; widząc, że Dolores nie zabiera się do jedzenia, przykro mu było, że przynosi tak jéj nędzną strawę.

— Daruj, obywatelko, ale nie mogę zastawić ci stołu, jak to bywało w twoim pałacu.

— Wszystko mi jedno co mam jeść, odrzekła dziękuję ci dobry panie Aubry.

— Ach! obywatelko, nie zapominaj, że nie ma już *panów*, i nigdy nie wymawiaj tu tego wyrazu.

Gdy odszedł zabrała się do jedzenia, gdyż od wczoraj wieczór nic w ustach nie miała; potem przysunęła stolik do muru, i stanąwszy na nim otworzyła lufcik, aby świeżem odetchnąć powietrzem. Grube kraty nie dozwalały nic widzieć, prócz gęstej mgły zalegającéj powietrze.

Patrole zaczęły chodzić po korytarzach, czuwając nad tem, aby więźniowie pogasili światło; wtedy Dolores położyła się i znużona zasnęła wkrótce, a gdy przebudziła się nad rankiem, powitał ją jasny promyk słońca, migający po podłodze więziennéj.

O dziesiątéj wszedł Aubry.

— Muszę ci powiedzieć, obywatelko, że gdy dziś raniutko wychodziłem po sprawunki, spotkałem w pobliżu więzienia dwóch mężczyzn, i jeden z nich pytał mnie czy nie widziałem w więzieniu młodéj i pięknéj dziewicy z blond włosami i czarnemi oczami. Słowem opisał mi cię doskonale.

— Jak wyglądał, zapytała?

— Wysoki, siwy, widać bardzo stroskany.

— Ach! to ten właśnie do którego chciałam pisać, czy zobaczysz się z nim jeszcze?

— Żal mi było nieboraka, więc obiecałem mu dopomódz w poszukiwaniach, i dla tego umówiliśmy się iż przyjdzie do kancelaryi prosić, czyby nie mógł być przyjęty do służby więziennéj, i w tymże samym czasie, ty, obywatelko także się tam o coś zamówisz. Tym sposobem choć nie będziecie mogli mówić z sobą, ale przynajmniéj przekonacie się, czy rzeczywiście siebie szukacie.

Jakoż niezadługo Dolores zeszła do kancelaryi i tam zobaczyła Coursegol'a, nie mogli mówić z sobą ale jednak Coursegol na migi dał jéj do zrozumienia, iż niczego nie zaniedba byle ich uwolnić. Widząc że ktoś czuwa nad nią i nad Filipem, daleko była spokojniejsza.

Nazajutrz rano drzwi się otworzyły i Coursegol stanął przed nią, dając znak milczenia.

— Przez cały dzień dzisiejszy zastępuje Aubry'ego.

Zamknął drzwi, Dolores rzuciła się w jego objęcia, trzy dni przez które się nie widzieli wydały im się wiekiem.

— Czy widziałeś Filipa? zapytała Dolores.

— Tak, dotąd pozostaje w więzieniu Madelonnette, ale w przyszłym tygodniu zostanie tu przeniesiony.

Serce Dolores zadrżało radośnie; jakże serdecznie dziękowała opiekunowi swemu za tę dobrą wiadomość....

Coursegol powiedział jéj następnie że uzyskał kartę wyjścia dla dwóch osób, i jakim sposobem wymógł ją na Vauquelas'ie.

— Mam nareszcie tę zbawczą kartę, dodał ale chcąc z niéj korzystać trzeba, żeby Filip w jednem z tobą zostawał więzieniu; jak tylko go tu przeniosą, niebawem będziecie wolni. Tymczasem tak się urządzę, abyśmy zaraz po waszem oswobodzeniu mogli opuścić Paryż. Bądź więc spokojna i dobréj myśli.

Długo jeszcze rozmawiali tak z sobą, a po odejściu Coursegol'a w usposobieniu Dolores dziwna zaszła zmiana. Przed chwilą gotowa była na śmierć, a myśli jéj oderwanę od ziemi, w wyższych po za grobowych bujały przestrzeniach; obecnie z wrażliwością młodej, rozognionej wyobraźni, przeniosły się w urocze, ale więcéj ziemskie strefy. Widziała się teraz w jakiejś cichej rozkosznéj ustroni; połączona z Filipem nierozerwalnemi węzły, dłoń w dłoni szła z nim przez życie. A życie to było tak rozkoszne i urocze zawsze i wszędzie razem, myśli ich i uczucia tak się połączyły i utożsamiły, jakby w dwojgu ciałach jedna zamieszkała dusza.

Uspokojona i wzmocniona na duchu, po raz pierwszy od czasu swego pobytu w Conciergerie, odważyła się zejść do wspólnéj sali. Z téj sali było wyjście na dziedziniec okolony żelazną kratą, oddzielającą go od wązkiego i nizkiego korytarza, poprzedzającego cele przeznaczone dla mężczyzn. Ilekroć więźniowie ci chcieli rozmawiać z odwiedzającemi ich osobami stawali przy téj kracie, któréj pręty dość były rzadkie. W ciągu dnia w pewnéj oznaczonej porze, drzwi się otwierały i więzniowie obu płci mogli czas jakiś rozmawiać z sobą swobodnie! Wtedy rozpoczynały się dopiero przechadzki i spotkania; tu i owdzie tworzyły się mniejsze i większe gromadki, i młodzi i piękni panowie, piękne i eleganckie panie, rozmawiali z sobą tak swobodnie jakby w zwykłym salonie.

Tym sposobem stare społeczeństwo francuzkie, nawet w więzieniu protestowało przeciw prześladowaniu, chcąc okazać prześladowcom, że nic nie zdoła zachwiać ich odwagi, wesołości, a nawet lekceważenia śmierci. Wszyscy pisarze, którzy z dowodami i dokumentami w ręku opisali wnętrze ówczesnych więzień, zgadzają się najzupełniej: że nigdy jeszcze nie posunięto tak daleko pogardy rusztowania, jak w owéj krwawéj epoce.

Kobiety roztaczały niesłychany zbytek stroju, jakby za najlepszych czasów regencyi. Wiele z nich ukazywały się z rana w eleganckich negliżach, w południe przywdziewały kosztowne i wyszukane szaty, a wieczorem stroiły się w pyszne suknie z sążnistemi trenami, jak gdyby zamyślały iść do dworu i w monarszych salonach prezentować swe wdzięki i stroje. Damy które skutkiem okoliczności towarzyszących ich zaaresztowaniu, nie mogły zabrać z sobą tak wielki zasób strojów, łamały sobie głowy, aby gustem i pomysłem zrównoważyć lepiéj zaopatrzone toalety współtowarzyszek. I dla tego to więzienia ówczesne prawdziwe przedsionki śmierci, z pozoru nie przedstawiały nic strasznego; można je było wziąść za miejsce wesołego zebrania. Kobiety były czarujące i zalotne, mężczyzni namiętni i nadskakujący, ileż to uczuć miłosnych zrodziło się tam i zamarło między nadzieją a przerażeniem, i ani obawa jutra, ani perspektywa blizkiej śmierci, nie zdołały ostudzić zapału, zasępić ostatnich jasnych godzin zakochanych. Ale obok tych wykradzionych chwil szczęścia, ileż tam było zarazem smutków i boleści. Co chwila nowe przybywały ofiary; jedni płakali pomordowanych dzieci, drudzy żon, mężów, sióstr, matek. Nagle nadzorca wchodził do sali wywołując na śmierć skazanych. Łzy boleści i zgrozy towarzyszyły rozstaniu, kat porywał swoją ofiarę. Pozostali ścieśniali szeregi, spoglądali na siebie z przerażeniem, które jednak nie zdołało zachwiać ich odwagi, a spojrzenia ich mówiły wyraźnie:

— Kto też z nas umrze jutro?

Tajemniczy jakiś płomień ogrzewał wszystkie serca, słabszym dodawał odwagi, silnych uczył rezygnacyi, a nikczemność była równie rzadkiem zjawiskiem, jak częstemi były najwznioślejsze, najświętsze poświęcenia. Szczególniej wzruszającem było braterstwo i współczucie łączące wszystkich więźni, bez względu na ich stan i urodzenie; ówczesne więzienia były dla Francji prawdziwą szkołą równości.

Gdy Dolores weszła do sali była godzina druga. Około stu więźniów obojéj płci podzieleni w większe i mniejsze grupy, prowadzili bardzo ożywione rozmowy. Tu niemłoda jakaś ale pełna wdzięku i dowcipu dama, opowiadała otaczającym ją panom różne złośliwe anegdoty z dworu Ludwika XV; tam młody panicz prawił grzeczności dziewczętom; nieco dalej mężowie stanu rozprawiali o ostatnich posiedzeniach konwencyi—wszyscy zabijali czas jak mogli, jak podróżni zagnani burzą do nędznéj oberży, co choć nieznani łączą się i rozmawiają, oczekując na promień słońca, który dozwoli im w dalszą puścić się drogę.

W pierwszéj chwili przybycie Dolores żadnego nie zrobiło wrażenia; codziennie tyle nowych przybywało więźni, iż przestano zwracać na to uwagę, ale tak dziwnie była piękną, iż nie mogła długo pozostać niepostrzeżoną. Jakoż niezadługo wiele osób zauważyło tę cudnie uroczą dziewicę, samotnie przechadzającą się po sali; szmer litości rozległ się w około. Wielu z młodzieży zbliżyło się, aby jéj się lepiéj przypatrzeć; spostrzegłszy wywołane swem przybyciem wrażenie, cofnęła się i chciała opuścić salę; w tem zbliżyła się do niéj kobieta młoda jeszcze, choć szron siwizny przypruszył jéj włosy.

— Czy się nas lękasz, piękne dziewczę, że chcesz już uciekać? spytała.

— Nie pani, ale nie śmiem pozostać tak sama wśród obcych; chyba że pani raczysz wziąść mnie pod swoją opiekę.

— Dobrze, podaj mi rękę, kochane dziecię; jestem margrabina de Beaufort, a ty, jak się nazywasz?

— Jestem sierotą, nie znałam rodziców; margrabia de Chamoudrin przyjął mnie do domu swego i wychował jak córkę.

— Margrabia de Chamoudrin! znałam syna jego Filipa....

— Mego przybranego brata....

— Bardzo częstym był gościem w moim salonie... wówczas gdy mieliśmy jeszcze salony—dodała uśmiechając się smutnie.

— Filip emigrował, mówiła daléj Dolores, ale nieszczęściem powrócił do Francji, aby z kilku równie jak on odważnymi towarzyszami, probować oswobodzić królowę. Wczoraj, uciekając przed pogonią wpadł do mnie nie wiedząc gdzie wchodzi, i oboje zostaliśmy uwięzieni, on jako emigrant, ja żem mu dała schronienie.

Te kilka słów zjednały jéj ogólne współczucie; otoczono ją wyprzedzając się w ofiarowaniu różnych ulg i przyjemności, jakie można było zapewnić sobie pieniędzmi; odmówiła grzecznie, ale już do wieczora pozostała w towarzystwie kobiet, składającem się z największych dam, i czas prędzéj jéj jakoś upłynął. Margrabina de Beaufort polubiła ją bardzo i opiekowała się jak córką.

Przez kilka dni następnych nie zaszło nic ważniejszego, z wyjątkiem owych wydarzeń nader powszednich dla biednych więźniów, które na Dolores boleśne bardzo czyniły wrażenie; nie miała jeszcze czasu oswoić się z niemi. Wieczorami, jakiś urzędnik Kommuny wpadł nagle do sali, wywoływał kilku więźni i każdemu z nich oddawał papier złożony we czworo, zapisany drobnem, ścisłem, najczęściéj bardzo niewyraźnem pismem, w którem nazwiska tak były poprzekręcane, iż skutkiem tego nie raz papier w niewłaściwe oddawany był ręce. Był to akt oskarżenia. Ten komu akt taki doręczono, nie miał nigdy czasu odpowiedzieć, zbić czynione zarzuty i przygotować obronę, gdyż zaraz jutro rano stawał przed trybunałem rewolucyjnym, i tegoż jeszcze dnia skazany, najpóźniéj nazajutrz prowadzony był na śmierć.

Ileż to niewinnych ofiar przesunęło się przed oczami Dolores w przeciągu jednego tygodnia, i znikało niebawem, aby już nigdy nie wrócić! Ale wszystkie te ofiary, młodzi i starcy, mężczyzni i kobiety, szli na rusztowanie z taką godnością, z tak bohaterską odwagą, a pozostali tak byli pewni, że niezadługo połączą się z nimi, iż żegnali się smutnie, ale nie rozpaczliwie.

Będąc nieustannym świadkiem zajść podobnych, Dolores wyrobiła w sobie większy jeszcze hart duszy i siłę woli, coraz więcéj odrywała się od świata myślą, do niebieskiéj przenosiła ojczyzny. W dziewięć dni później nader bolesnego doznała wrażenia rozstając się z margrabiną de Beaufort, powołaną z kolei przed trybunał rewolucyjny, łącznie z ex-ksienią zakonu w Bellecombe w Ameryce i siwowłosym kapłanem, dawnym proboszczem z okolic Paryża. Wszyscy troje zostali oskarżeni o spiskowanie przeciw Rzeczy-pospolitéj. Powrócili po dwugodzinnéj nieobecności, zostali skazani na śmierć, a wykonanie wyroku miało nastąpić tegoż dnia jeszcze, przed samym zachodem słońca. Wszyscy troje uklękli, żeby ostatnie chwile życia poświęcić modlitwie; Dolores przyłączyła się do nich, ale łzy i wzruszenie przeszkadzały jéj się modlić.

— Nie płacz, kochane dziecię, rzekła całując ją, margrabina; nie żal mi życia, bo już dla nikogo nie było ono pożytecznem. Straciłam męża, syna, wszystkich co kocham,—dają mi sposobność połączyć się z nimi, los mój godzien raczéj zazdrości niż ubolewania.

I znów w gorącéj zatonęła modlitwie, aż do chwili gdy oznajmiono biednym ofiarom, iż kat oczekuje na nie; wtedy uklękła przed kapłanem:

— Ojcze, pobłogosław mnie! rzekła smutnym, ale pewnym głosem.

I starzec, który sam gotował się na śmierć, udzielił jéj ostatnie błogosławieństwo. Margrabina powstała, twarz jéj nadziemską promieniała pogodą.

— Żegnam cię, kochane dziecię, rzekła ściskając Dolores; tyś tak młoda, jeszcze mam nadzieję, że unikniesz mego losu i doczekasz lepszéj przyszłości. Módl się za mnie!

Wszyscy cisnęli się wyciągając do niéj ręce.

— Bywajcie mi zdrowi, rzekła żegnając ich ostatnim uściśnieniem dłoni; do widzenia, tam w niebie!..

I oprawcy uprowadzili ją z sali.

Nazajutrz tenże los spotkał dwóch młodzieńców, którzy nigdy nie byli royalistami,—tych znowu oskarżono o *moderantyzm*, straszny wyraz mocą którego rzeczpospolita mordowała najlepsze, najwierniejsze swoje dzieci.

XII.

Antonina de Mirandol,

Minęło dwa tygodnie od czasu uwięzienia Dolores w Conciergerie; pocieszała się myślą, że niezadługo Filip do tegoż więzienia będzie wprowadzony,—znowu więc będą razem. Nie śmiała ufać że starania, a nawet i karta bezpieczeństwa pozyskana przez Coursegol'a za pośrednictwem Vauquelas'a, zdołają ich ocalić, ale pragnęła tylko raz jeszcze zobaczyć

i pożegnać Filipa; wtedy spokojnie wstąpiłaby na rusztowanie.

Nareszcie pewnego poranku Coursegol zawiadomił ją, że Filip nazajutrz zostanie przeprowadzony do Conciergerie; była to pierwsza chwila radości, jaką zaznała od chwili uwięzienia.

— Jak tylko Filip przybędzie pomyślemy o korzystaniu z posiadanéj karty—wyjścia, ułożymy tak wszystko, abyście mogli opuścić więzienie bez obudzenia podejrzeń.

— Jest że to możliwem?

— Najzupełniéj. Wszyscy więźniowie uzyskujący wolność, uwalniani są na mocy rozkazu Komitetu, a właśnie podobny rozkaz posiadam.

— Tak, ale nie ma w nim naszych nazwisk.

— Mniejsza oto, sam je wpiszę. Uwolnienie tedy będzie wydane dla obywatela i obywatelki Chamoudrin.

— I gdzież się podziejemy opuściwszy Conciergerie?

— Udamy się prosto do Bridoul'a, tam możecie bezpiecznie pozostać przez dwadzieścia cztery godzin, poczem zamieszkacie w małym domku położonym w lasku Chevreuse, niedaleko Wersalu. Jest to miejsce samotne, jakby jaka puszcza, tam oboje będziecie mogli być zupełnie bezpieczni.

Słowa Coursegol'a głębokie na Dolores wywarły wrażenie. Jakiż to dziwny zbieg okoliczności! wówczas właśnie gdy poświęciwszy i zaparłszy się właśnie, gdy już zadnéj nie miała nadziei, gdy poświęciwszy i zaparłszy się własnych uczuć na zawsze wyrzekła się szczęścia, zrzekając się miłosci i ręki Filipa, gdy wszystko zdawało się straconem, przyszłość, spokój, a nawet i życie, z tych samych przyczyn, które spowodowały jéj cierpienia i nieszczęścia, wyrastał, jakby na gruzach, cudny kwiat nadziei, dozwalający jéj ze spokojnem sumieniem oddawać się uczuciom serca i porywom duszy, i nakoniec połączyć się na zawsze z ukochanym, z którym dotąd wszystko zdawało się ją rozłączać.

Więc zapomniała o Antoanecie i jéj prawach do serca i ręki Filipa? Bynajmniéj; widzieliśmy z jak bezgranicznem zaparciem siebie ustępowała miejsca przyjaciołce, jak wszelkiemi sposobami starała się zawsze nakłaniać Filipa, aby spełnił stanowczo ostatnią wolę ojca. Lecz gdy tenże ujrzawszy ją tak niespodziewanie w domu Vauquelas'a, zapominając świeżych zobowiązań, łączących go ściślejszemi niż dawniejsze węzłami z panną de Mirandol, nietylko nic o nich nie wspomniał, ale przeciwnie starał się przekonać ją, że wymuszone wiadome jéj przyrzeczenie, w niczem obowiązywać go nie mogło, że nigdy nie kochał i nie pokocha panny de Mirandol, gdyż od pierwszych uderzeń serca, ją jedną tylko kochał i nigdy kochać nie przestanie, jeśli jeszcze do tych słów przekonywających dołączymy wyjątkowe okoliczności w jakich się znajdowali, okoliczności tak silnie oddziaływające na umysł i na serce, jako też pewność że p. de Mirandol jest zupełnie bezpieczna, łatwo pojmiemy, że mogli chwilowo zapomnieć o niéj w przeciągu tych kilku dni, zapomnieć o wszystkiem i myśleć tylko o własnem szczęściu, i połączenie swoje poczytywane dotąd za niemożliwe, uważać za rzecz łatwą, prostą i naturalną.

W tem tedy usposobieniu umysłu, Dolores słuchała Coursegol'a, opisującego jéj domek w Chevreuse, w którym ofiarował im schronienie. Rozpowiadał jéj o starym pięknym lesie poprzerzynanym wązkiemi ścieżynami, o pięknéj murawie zasłanéj mchem i fijołkami, o pięknym pawilonie, dawnym domku myśliwskim Ludwika XV. Był to mały, jednopiętrowy budynek, umeblowany skromnie, ale gustownie. Z pokoju, przeznaczonego dla Dolores, okno otwierało się na kamienny balkon, którego balustrada kryła się w zwojach kapryfolium i bluszczu; w około uroczy roztaczał się krajobraz. Dolores w swéj żywéj, podnieconéj jeszcze tym opisem wyobraźni, myślą przeniosła się do samotnego domku, i tam wiecznemi śluby połączona z Filipem, ciche rozkoszne wiodła życie.

Było to wieczorem, nastała wiosna. Gałązki bzu zaczęły się przystrajać w pączki; ziemia nie mogła już zatrzymać w swem łonie rwącéj się do życia roślinności. W głębi lasu odzywały się jakieś pomięszane, tajemnicze głosy, jakby wydobywając się z po za kory dębowéj, z wierzchołka jodeł, z gałęzi przeróżnych krzewów. Powoli cienie nocy zaczęły roztaczać się nad polami; miljardy gwiazd zabłysły na niebie; wpośród nich pojawiał się na horyzoncie wspaniały księżyc, pozłacając krajobraz bladawem swem światłem. Poblizki staw błyszczał zwierciadlaną powierzchnią, Filip wyszedł na parę godzin, Dolores oczekiwała go wsparta o balustradę balkonu. W domku czekała ich skromna, przez Coursegol'a przygotowana wieczerza. Wkrótce dał się słyszeć lekki szelest zbliżających się kroków; Dolores zaczęła się przysłuchiwać; szelest stawał się coraz wyraźniejszym. Nagle krzyknęła radośnie posłyszawszy głos Filipa wymawiającego jéj imię, i w jednéj chwili była w jego objęciu. I tak wiedli życie ciche, proste i błogie, oczekując końca żałoby pokrywającéj Francję.

Gorzko ją zbudzono z tego słodkiego marzenia; ruch wielki zrobił się wokoło, wywoływano więźni mających stawić się nazajutrz przed trybunałem rewolucyjnym. Nad wieczorem wróciła do swéj celki i zastała w niéj nadzorcę ustawiającego drugie łóżko.

— Co to się znaczy? spytała.

— Urządzam łóżko dla towarzyszki, którą rada nie rada przyjąć a ja narzucić ci muszę, obywatelko. Dotąd, wszelkich używałem wykrętów, żebyś mogła być samą jak tego żądałaś, ale dziś już nic poradzić nie mogłem. Dostawiono wielki konwój więźni z Vandei, w ich liczbie są i kobiety, które koniecznie pomieścić tu trzeba. Podczas twojéj nieobecności, inspektor zwiedzał cele, a widząc tu miejsce, rozkazał ustawić drugie łóżko. Przykro ci to jest, obywatelko, ale cóż robić; jednak uspokój się, postaram się abyś była zadowolniona z towarzyszki; możesz się spuścić na mój wybór, jestem dobrym fizjognomistą.

Nazajutrz wstała bardzo rano, chcąc co prędzéj powitać dzień w którym miała zobaczyć Filipa; niezadługo usłyszała kroki w korytarzu, klucz zaskrzypiał w zamku i wszedł Aubry wprowadzając jakąś zawoalowaną kobietę.

— Przyprowadzam ci towarzyszkę, i mam nadzieję, że będziecie z siebie zadowolnione. Przypędzono bardzo wiele kobiet, ale sądzę, że ta najstosowniejsza będzie dla ciebie. Tylko biedaczka jakaś bardzo smutna i znużona.

Nowo przybyła usiadła na przygotowanem dla siebie łóżku, i nie podnosząc zasłony, oparła głowę na ręku. Cała jej postawa zdradzała wielką boleść i znużenie. Aubry udzielił jéj niektórych objaśnień co do przepisów i zwyczajów; słuchała roztargniona, nieodpowiadając, nie patrząc nawet na niego. Gdy odszedł, Dolores zbliżyła się do niéj, mówiąc:

— Ponieważ przez pewien czas musimy być razem, czy chcesz pani żebyśmy były przyjaciołkami?

Na dźwięk głosu Dolores, nieznajoma zadrżała; zerwała się prędko i z pod zasłony głęboki wzrok w niéj utkwiła:

— Czy chcę żebyśmy były przyjaciołkami? Dolores, czy mnie nie poznajesz?...

Teraz z kolei Dolores drgnęła mocno, załamała dłonie i krzyknęła; w okrzyku tym przebijała zarazem radość i przerażenie; zbliżyła się prędko do nowéj towarzyszki, i unosząc zasłonę, zawołała:

— Antonina! Antonina!

— Dolores! ty tutaj?...

I rzuciły się sobie w objęcia; pierwszy ten uścisk po czterech latach rozłączenia był długi i serdeczny, przerywany to uśmiechem, to łzami.

— Dolores, jakim sposobem się tu dostałaś.

— Opowiem ci wszystko, ale najpierw połóż się i odpocznij.

I zaczęła pomagać Antoninie do zrucenia przemokłéj i zabłoconéj sukni, poczem zmusiła ją, aby się położyła, a sama poszła do Aubry'ego przynieść jaki ciepły napój. Gdy Antonina odpoczęła nieco, rozpoczęła się poufna rozmowa. Pierwsze słowa Antoniny były:

— Co się dzieje z Filipem? czyś go widziała?

Na to pytanie, Dolores zadrżała i zbladła; jednak po chwili odpowiedziała spokojnie.

— Widziałam się z nim; jest aresztowany, i dziś jeszcze ma być przeprowadzony do tego więzienia.

Czyniąc zadość życzeniu przyjaciołki, opowiedziała okoliczności towarzyszące aresztowaniu Filipa, oraz rozliczne przygody jakie przetrwała od czasu opuszczenia zamku de Chamoudrin, aż do chwili aresztowania, lecz ani jednem słówkiem nie zdradziła uczuć swoich dla Filipa, ani wyznań jakie jej uczynił.

Następnie z kolei Antonina opowiedziała jej napad na zamek, opisała ostatnie chwile margrabiego, swoją ucieczkę z Filipem, przybycie do Anglji i szczegóły ich tam pobytu. Mówiła wiele o swojéj miłości dla Filipa, o uroczystem przyrzeczeniu jakie jéj złożył opuszczając Anglję, jak uważając się już prawie za jego żonę, nie chciała pozostać obcą niebezpieczeństwu na jakie się narażał, i nie uprzedziwszy państwa Reed, dom ich opuściła skrycie. W Londynie zażądała rady i pomocy kawalera de Millemont, człowieka w podeszłym wieku, którego jéj kiedyś Filip przedstawił—ten widząc, że nie może odwrócić ją od zamiaru powrotu do Francji, nastręczył odpowiednią sposobność i środki. Dzięki jego pośrednictwu mogła odpłynąć małym statkiem wiozącym do Vandei rozkazy i rozporządzenia książąt; tym sposobem dostała się na wybrzeża Bretanji, gdzie już towarzysze podróży musieli ją własnemu zostawić losowi. Pragnąc co prędzéj dostać się do Paryża, ugodziła się z jakimś miejscowym mieszkańcem, który za nie zbyt wielkie wynagrodzenie zobowiązał się przewieźć ją pare mil po za Nantes, radząc aby nie zatrzymywała się w mieście, w którem krwiożerczy Carrier szerzył tak straszne mordy i pożogę. Wystarał się o dwa pasporta, dla siebie jako dla kupca zbożowego, i dla p. de Mirandol jako dla swojéj córki. Z początku wszystko szło dobrze, jechali dość prędko, ale w pewnéj wiosce około Nantes, gdzie zatrzymali się na popas, powierzchowność Antoniny zwróciła uwagę oberżysty. Jéj cera, białe rączki, maleńkie nóżki i pańskie ruchy, zdradzały, że nie może być córką podrzędnego wiejskiego przekupnia, która musiałaby zwiedzać z ojcem wszystkie okoliczne targi i jarmarki, pracować w polu i w domu najprostszą zajmować się pracą. Powziąwszy podejrzenie, co spostrzegłszy ów handlarz zbożowy, wymknął się z sali, zaprzągł do wozu i odjechał galopem, zostawiwszy ją w oberży. Widząc się opuszczoną, panna de Mirandol, nie umiała ukryć swéj niespokojności i to ją zgubiło. Właściciel oberży, jeden z owych dzikich patryjotów, utwierdził się w powziętych podejrzeniach, i żądał aby natychmiast udała się z nim do komisarza okręgowego. Biedne dziewczę

zupełnie straciła przytomność i tak się plątała w odpowiedziach, iż natychmiast ją aresztowano. Komisarz chciał ją kazać odstawić do Nantes, lecz ulegając jéj prośbom i błaganiom, zezwolił aby została odesłana do Paryża, łącznie z licznym pocztem więźni wandejskich, tak wysokie zajmujących stanowisko w spisku rojalistowskim, iż Komitet bezpieczeństwa publicznego chciał sam wyprowadzić z nich śledztwo. Tym sposobem dostała się do Paryża, gdzie spodziewała się spotkać z Filipem.

Dolores wysłuchała w milczeniu tego opowiadania, gdy skończyła uściskała ją prosząc, aby teraz przespała się trochę, i odpoczęła po tak okropnem znużeniu.

— Chciałabym koniecznie zobaczyć się z Filipem.

— Bądź spokojna, zobaczysz go dziś jeszcze.

Wkrótce Antonina zasnęła, a Dolores siedząc przy niéj rozmyślała nad tem co ułsyszała. Z całego opowiadania Antoniny dwie główne rzeczy utkwiły jéj w pamięci: panna de Mirandol szalenie kochała Filipa i dla połączenia się z nim nie wachała się narazić na śmierć,—Filip zamienił z nią tak niedawno najuroczystsze przyrzeczenia, i nic jéj o tem nie wspomniał.

Co tu począć?.... pytała siebie i serce jéj pękało z bólu; złote, niedawno rojone marzenia pierzchły przed bolesną rzeczywistością.

W obec jéj miłości tak silnéj, bezgranicznéj, bohaterskiéj stawała miłość Antoniny,—którąż z nich miała poświęcić? Zdawałoby się, że pod tym względem żadna nie może zachodzić wątpliwość skoro Filip ją tylko kochał i kocha—ale Dolores nie śmiała w ten sposób rozwiązać zadania.

— Nie! myślała sobie, tak być nie może; margrabia de Chamoudrin był dla mnie ojcem, miałażbym w zamian za jego dobrodziejstwa zachęcić syna jego do sprzeciwienia się ostatniéj jego woli?.... Nie, to niepodobna!... On żądał, aby Filip poślubił p. de Mirandol i tenże przyrzekł to ojcu, a następnie Antoninie..... i cóż, że mnie kocha..... nie widząc mnie zapomni, przywiąże się do Antoniny i będą szczęśliwi....

I wolnoż mnie biednéj, z litości wychowanéj sierocie niweczyć zamiary, tak drogie sercu mego dobroczyńcy? Wszakże raz już wyrzekłam się szczęścia, poświęciłam siebie i uczucia moje, i miałażbym cofnąć się teraz? O! nie, powinnam być odważną i mężną, wytrwać na szlachetnéj drodze poświęcenia Gdybym zaślubiła Filipa, stałabym się przyczyną nieszczęścia Antoniny, nie przeżyłabym takiego ciosu, i całe życie między mną i mężem moim, unosiłby się cień nieszczęśliwéj ofiary, któraz mego powodu umarła. Wszak ona niewinna! nie wie nawet, że i ja także kocham Filipa, ani on, ani ja nigdy nie mówiliśmy jéj o tem.... Będzie więc mogła spokojnie i bez wyrzutów sumienia cieszyć się szczęściem swojem, i potrafi zbudzić w sercu ukochanego najpierw rezygnację, późniéj spokój, a nareszcie wzajemną miłość.

I postanowiła nadal być godną saméj siebie, i am pomyślała jak szczytną, jak wzniosłą była w téj chwili takiem bezgranicznem, dobrowolnem zaparciem siebie. Dość było jednego jéj słówka, a zostałaby żoną Filipa, ale nie chciała szczęścia, któreby musiała okupić nieszczęściem Antoniny i nieposzanowaniem ostatniéj woli człowieka, którego tak kochała.

Rozmyślała tak patrząc na śpiącą Antoninę.

— Ach! czemuż nie pozostała w Anglji!...czemu powróciła, nie pojmuje nawet jak straszną zgotowała mi boleść....

Może w téj chwili krzyk oburzenia ozwał się w głębi jéj serca, ale nie doszedł do ust, utkwił w głębi duszy razem z pogrzebanemi nadziejami. W tem drzwi się otworzyły, wszedł nadzorca, było około dziesiątéj rano.

— Obywatelko, rzekł, jakiś więzień świeżo tu przybyły z Madelonnettes dopytuje się o ciebie.

— Ach! to on! zawołała; i serce jéj zadrżało, twarz śmiertelną pokryła się bladością na samą myśl, że ma go zobaczyć.

Uzbroiwszy się w odwagę pewnym krokiem poszła na jego spotkanie; oczekiwał jéj przybycia z gorączkowym niepokojem. Ileż to trudów i usiłowań poniósł łącznie z Coursegol'em, zanim nareszcie przeniesiono go do Conciergerie! W sali nikogo jeszcze nie było, gdy Dolores weszła pobiegł ku niéj z roztwartemi rękami.

— Dolores! Dolores ukochana! zawołał z uniesieniem, otóż znów jesteśmy razem, aby się już nigdy nie rozłączać.

— Nigdy!..powtórzyła z bolesnem westchnieniem.

— Więc znowu muszę ci powtórzyć: Jeśli Bóg który cudem prawie połączył nas po tak długiem rozłączeniu, wybawi nas jeszcze od grożącego niebezpieczeństwa, czyż nie uwierzysz nareszcie, iż On sam chce abyśmy się wiecznemi połączyli śluby? A dzięki Coursegol'owi niezadługo opuścimy to więzienie i będziemy wolni....wtedy nic nie stanie na zawadzie naszemu połączeniu.

— A Antonina?

— Antonina!

Dolores spojrzała na niego jak mogła najspokojniej i rzekła dość pewnym głosem:

— Odjeżdżając z Anglji przyrzekłeś Antoninie że ją poślubisz zaraz po powrocie....nie mogąc się ciebie doczekać przybyła do Francyi, następnie do Paryża i dziś znajduje się w tem samem więzieniu, przychodzi przypomnieć ci dane jéj przyrzeczenie.

Słuchając słów tych Filip zmienił się nagle: na twarzy jego odbiło się bolesne wrażenie, miotające duszą. Dolores przestała mówić, a on, blady i przerażony, słowa odpowiedzieć nie mógł, nogi zachwiały się pod nim i bezprzytomny prawie oparł się o ścianę.

XIII.

Walka miłości.

Wiadomość o przybyciu Antoniny przejęła Filipa zdziwieniem i przerażeniem. Jakim sposobem dostała się do Francji? w jakim zamiarze przybyła do Paryża?

Dolores w krótkich wyrazach zawiadomiła go o wszystkiem, skończywszy dodała spokojnym głosem...

— Filipie, dla czego nie powiedziałeś mi, że nowe zobowiązania wiążą na zawsze wasze losy? Zaledwie sześć tygodni od czasu waszego rozstania odjeżdżając przyrzekłeś zostać jéj mężem, i nie pomny na tak święte zobowiązania, wymagałeś odemnie....

— Ach! nie oskarżaj mnie, Dolores; nie zawiniłem ani wiarołomstwem ani lekkomyślnością jakaś nieubłagana fatalność ściga mnie nieustannie. Rozłączony z tobą, bez promyka nadziei, że cię kiedykolwiek zobaczę, nie wiedząc czy żyjesz i będąc przekonanym, żeś co najmniej na zawsze umarła dla świata, zostawszy karmelitką w Avignon, powtórzyłem Antoninie toż samo przyrzeczenie, jakie ojciec wymógł na mnie przed czterema laty. Lecz mogęż go dotrzymać, dziś gdy odzyskałem ciebie, ciebie pierwszą i jedyną miłość moją, ciebie którą ukochałem całą duszą i nieprzestanę kochać do ostatniéj życia chwili? Dzieckiem będąc kiedy jeszcze nie umiałem zdać sobie sprawy z wrażeń i uczuć moich, myśląc, że kocham siostrę, kochałem w tobie kobietę z biegiem czasu miłość ta potęgowała się i rozwijała, aż stała się tak wielką i bezgraniczną, iż dziś stanowi szczęście lub rozpacz całego mego życia.

— Niestety! wyszeptała Dolores.

— I dziś, gdy po tak długiem rozłączeniu, przypadek, który jeszcze ostatniem tchnieniem błogosławić będę, dał mi cię odnaleźć, gdy mogę napoić oczy moje twoim widokiem, okryć pocałunkami ukochane ręce, ty, w imię Antoniny, żądasz, abym milczał i nie wypowiedział co się dzieje w mem sercu. Nie! to niepodobna! O! Dolores moja, ja znam hart i siłę twego charakteru, wiem jak umiesz panować nad sobą i okazać się spokojną wtedy nawet gdy bezmierna boleść szarpie twe serce i miota duszą, ale ja nie jestem tak doskonałym, nie umiem być jak ty wybranym aniołem, nie umiem cierpieć w milczeniu, nie umiem ukryć co czuję, kocham i muszę to wypowiedzieć.

Mówiąc to unosił się coraz więcéj, gorące łzy spływały mu po twarzy, cała postawa gwałtowne zdradzała wzruszenie.

— Wszystkie nasze nieszczęścia ztąd pochodzą, żeśmy ojcu nie wyznali prawdy: gdybyśmy byli uklękli przed nim mówiąc: Ojcze, kochamy się całem sercem, z pewnością byłby nam pobłogosławił.

— Mylisz się, Filipie; mając odjechać do klasztoru, powiedziałam ojcu twemu, że powodem tego postanowienia jest miłość twoja dla mnie i pochwalił mój zamiar, i nie probował mnie od niego odwieźć.

Filip osłupiał:

— Jakto, ojciec mój wiedział że kocham ciebie, i mimo to w chwili śmierci wymagał, abym mu przyrzekł, iż zaślubię Antoninę? o! za nadto unio sła go troska o świetność rodu!

— Nie obwiniaj go, był przekonany, że nie widząc zapomnisz o mnie.

— Czyż ja umiem zapomnieć!.. Boże mój. co to robić?

Dolores nic nie odpowiedziała, spuściła oczy jakby nie chcąc, aby z nich wyczytał walkę toczącą się w głębi jéj duszy. Po chwili Filip rzekł znowu:

— Posłuchaj mnie, Dolores; niepodobna abyśmy oboje stali się ofiarą woli ojca,—i Antonina nie byłaby szczęśliwą, gdybym, kochając ciebie, zaślubił ją tylko z musu. Zresztą cóżby się z tobą stało?..

— A gdybym zgodziła się pójść za ciebie cóżby się stało z Antoniną?

— Zapomni o mnie. Pokochała mnie, bo chciała kochać, a prócz mnie nie znała nikogo z młodzieży, nie znała zupełnie świata, gdy go pozna, gdy zakosztuje jego rozkoszy i uciech, zapomni o mnie i pokocha innego, a gdyby nawet i zapłakała trochę, czemże byłyby te łezki obok gorzkich łez jakie ja przepłakałem? Niepodobna porównywać jéj niby miłości, z miłością jaka żyje w sercu mojem.

— Krzywdzisz ją, Filipie, Antonina pokochała cię od pierwszego wejrzenia, od lat czterech uważa cię za małżonka swego w obec Boga, i gdybyś ją dziś opuścił, wierzaj mi, niewierność twoja zatrułaby całe jéj życie.

— Moja niewierność?

— Tak, gdyż przyrzekłeś jéj uroczyście, kiedy przeciwnie ze mną żadne nie łączą cię zobowiązania.

— Ale ty mnie także kochasz, Dolores.

— Kocham cię jak brata; odrzekła odważnie.

— Jak brata O biada mi, krzyknął i załamał dłonie. Serce bohaterskiéj dziewicy pękało z boleści ale postanowienie jéj było niezłomne; po chwili rzekła łagodnie:

— Coursegol przyniesie kartę wyjścia za którą mieliśmy oboje opuścić więzienie, teraz z jéj pomocą oswobodzimy Antoninę.

(d. c. n.)



N. 2. Czarna koronkowa chustka na głowę. N. 1. Kołnierz gorsecikowy i przybranie rękawów. N. 3. Kaptur koronkowy. Krój i opis na dodatku N. V, Fig. 8—8a.
N. 4. Tunika i chustka koronkowa. Krój i opis na dodatku N. II, Fig. 4.

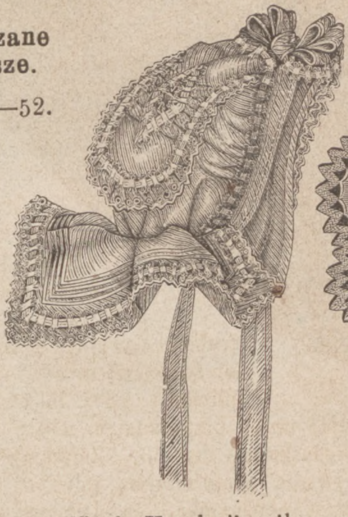
Opis N. 37.

(Dalszy ciąg).

N. 6—7. Dwa wiązane dziecinne kapelusze.

Krój N. XV Fig. 49—52.

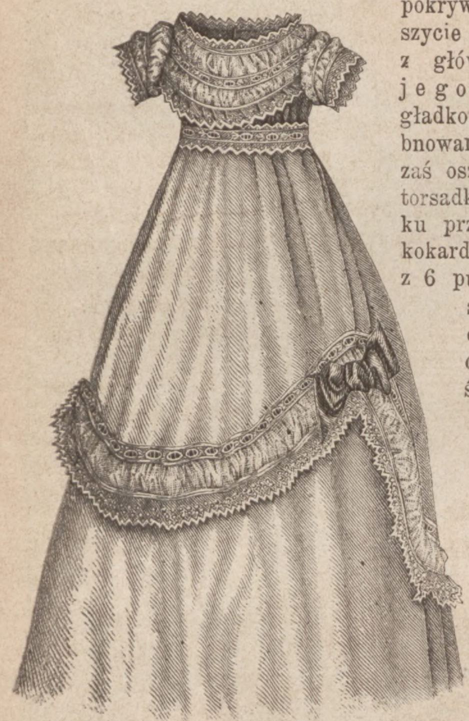
Załączona forma służy za podstawę do obydwóch kapeluszy. Pod rondko daje się sztywny muślin i podszewkę, a brzeg oszywa drucikiem i pliską odwracaną lub stębnowaną. Karczek także podszywa się muślinem, zaszywa oznaczone na formie fałdy i dodaje listewkę do nawleczenia. Nakoniec wszywa się dopasowaną i stosownie przyfałdowaną główkę.



N. 6. Kapelusik pikowy dla dziecka, wyszyty torsadką. Krój na arkuszu N. XV Fig. 49—52.

N. 6. Kapelusz pikowy przystrojony torsadką.

Fig. 52 wskazuje formę ubrania, pokrywającego zeszycie rondka z główką; górny jego brzeg jest gładko przystembnowany, dolny zaś oszyty pikową torsadką. Na środku przypięta suta kokarda, złożona z 6 pukli 2 cent. szerokich i 3 do 4 centym. długich, skośną pliską objętych i ściegiem



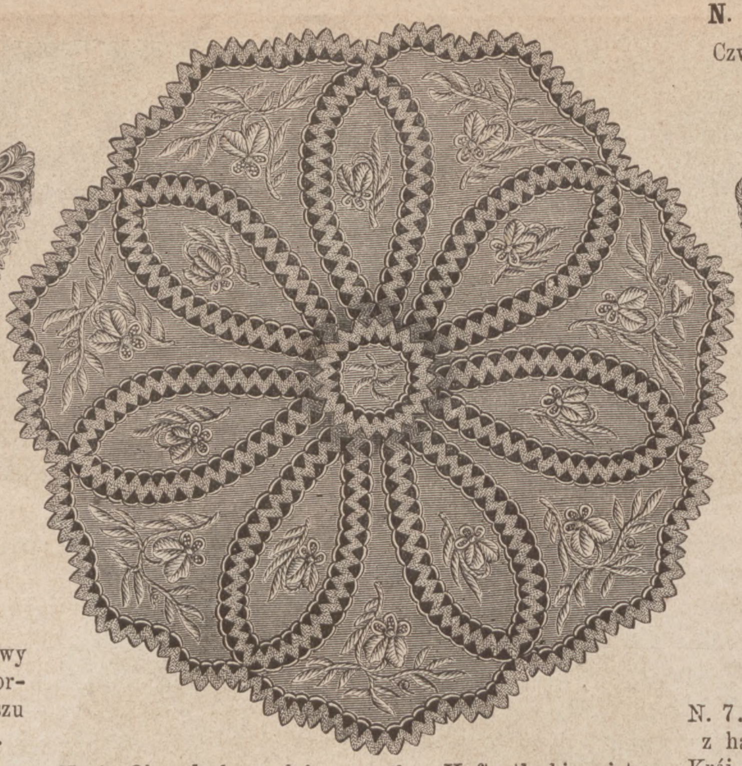
N: 9. Sukienka dla dziecka na ręku, ozdobiona haftem i muślinem. Patrz N. 10.

łańcuszkowym wyszytych. Środkiem kokardy dany węzeł, a od spodu podłożone dwa 5 cent. długie końce oszyte torsadką. Na główce dodane wyszycie z torsadki i haftowanej batystowej falbanki, którego układ wskazuje rycina. Takaż torsadka i haftowany szlaczek przystraja karczek.

N. 7. Kapelusz z haftem gipiurowym. Środkiem główki dana gipiurowa wstawka, mająca 2 i pół cen. szerokości i 14 cent. długości, z pod której tło się wycina. W koło wstawki idzie gipiurowy szlaczek 2 cent. szeroki, a zeszycie przykryte pliską stębnowaną pikową 1 i pół cent. szeroką. Warkocz z plisek pikowych przykrywa przyszycie główki, przy końcach u kokardy dodane kwasty bawełniane. Karczek naszyty pliskami i oszyty gipiurowym haftem. W miejsce plisek można dać wyszycie łańcuszkowe.



N. 16. Sukienka z haftowanemi pliskami dla dziewczynki. od lat 4—6. Przód do ryc. 25. Krój na dodatku N. XII Fig. 16—19.



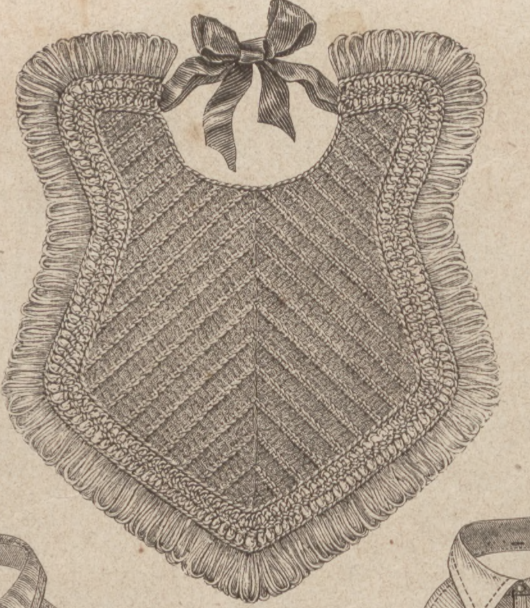
N. 5. Okrągła kapa lub serwetka. Haft atłaskiem i tasiemeczka w ząbki. Forma i wzór na arkuszu z krojami. N. XVII Fig. 54.



N. 8. Woreczek do roboty na drutach. Haft dziergany. Krój na dodatku Fig. 55.



N. 13. Tło szydełkowe na napierśnik do ryc. 12.



N. 12. Szydełkowy napierśnik. Krój na dodatku N. XVI. Fig. 53.



N. 14. Półkoszulek z perkalu w paski. Krój jak do ryc. 15.



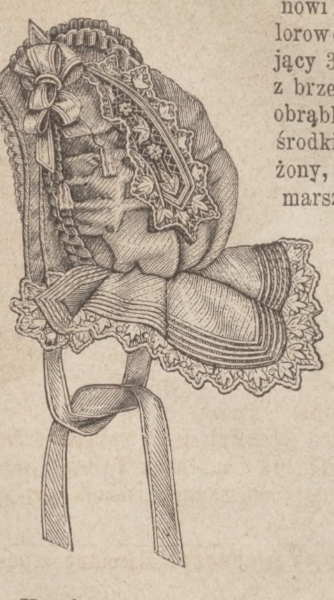
N. 10. Sukienka dla dziecka na ręku, przybrana koronką i materjałem przerabianym w fałdki.



N. 15. Półkoszulek z płótna. Krój na dodatku N. XIV. Fig. 46—48.

N. 8. Torba na robotę na drutach. Haft dziergany. Czwarta część deseniu na arkuszu z formami Fig. 55.

Podstawę torebki stanowi kawałek dobréj kolorowéj materji, trzymający 35 cent. w kwadrat, z brzegów poprzecznych obrąbkami zakończony, środkiem we dwoje złożony, a z boków przymarszczony. Odpowiedniéj wielkości kawałek bastu jedwabnego lub atłasu bawełnianego w kolorze écru, haftuje się kordonkiem lub bawełną tego samego koloru, ściegiem rzadkim dzierganym, a następnie starannie wycina i na torebce ściegami nieznacznemi przyszywa. Przymarszczone boki zdobią się rozetami ułożonemi z materyi; w środku rozet wszyty guzik jedwabny. Ucho woreczka stanowi wstążka tego co materja koloru, przyszyta z brzegów na założonych na siebie obrąbkach. W środku dodane wstążki do wiązania.



N. 7. Kapelusik pikowy z haftem gipiurowym. Krój na dodatku N. XV. Fig. 49—52a.

N. 9—10. Suknia dla dziecka noszonego na ręku.

Ryc: 9 i 10 przedstawia dwie sukienki batystowe, odrobione podług jednego wzoru i różniące się tylko rodzajem garnirunku. Długość spódniczek jest 107 a szerokość dolna 190 centy: Wykrój staników okrągły. Garnirunek przy rycinie 9 składa się z haftowanych wstawek 1 i pół centy: z takichże szlaczków 2—3 centy. i z muślinowych bufek 3—5 i pół centy: szerokości, pod któremi batyst powinien być wycięty. Płócienne stębnowane pliski przykrywają wszycie wstawek i bufek. Naszycie garnirunku na spódnicy naśladujące vêtement, z przodu tworzy ząb 55 centy. szeroki, 30 głęboki i 52 od dołu oddalony. Dalszy garnirunek także w kształcie zęba spuszczony o 15 centy. niżej, otacza wkoło suknię. Na zagięciach dodane kolorowe kokardy. U dołu nad obrębem mającym 8 centy. szerokości dana wstawka haftowana, stębnowanemi płóciennemi pliskami przyszyta. Krótciutkie rękawki składają się z dwóch 3 centym. szerokich bufek i z haftowanego szlaczka; od spodu ręki na zeszyciu bufki są one przez założenie fałdek do 1 centym. zwężone. Pasek 6 centym. szeroki składa się



N. 11. Płaszczyk pikowy z peleryną i kapturkowym kołnierzem. Krój na arkuszu N. VIII. Fig. 21—22.



N. 17. Bluzkowa kurtka z fałdowanym karoczkiem. Plecy do ryc. 27. Krój N. XIII, Fig. 44—45.

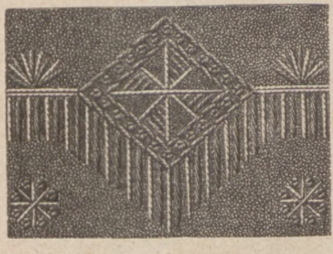


N. 21. Szlak brzeżny do przykrycia na koszyk ryc. 19.

z haftowanej wstawki i szlaczków.

Przy staniku podanym z tyłu, na ryc. 10, garnirunek składa się z dwóch pasów 3—4 centy. szerokich, w maszynie w drobne zakładki zaszytych lub fabrycznie tkanych, stębnowanemi listewkami przyszytych, i z obydwóch brzegów koronką irlandzką ogarnirowanych. Pasek, szarfy i kokardy na ramionach są z kolorowej wstążki. Nad obrębem spódnicy pas takichże zakładek 10 centy. szeroki, środkiem stębnowaną pliską naszyty, zakończony jest z brzegów pliskami i koronką.

N. 11. Długi pikowy płaszczyk dziecinny z pelerynką i kapturkiem.

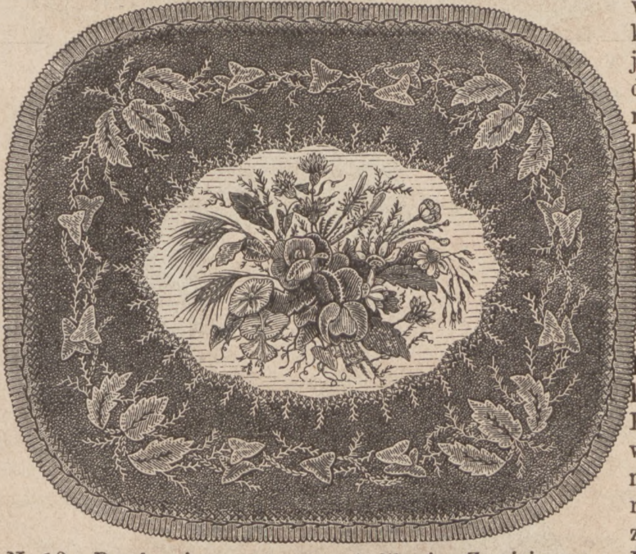


N. 18. Wyszycie szlaku do teki ryc. 11 w N. 36 Tyg. Mód.

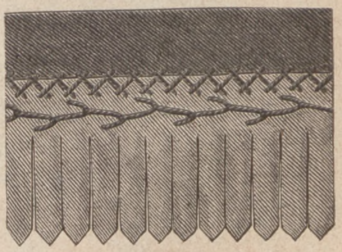
Krój na arkuszu z formami N. VIII Fig. 21—22. Zupełnie prosto i równo przykrojony płaszczyk, mający 95 cent. długości a 230 szerokości, jest u góry zfałdowany i przyszyty do karczka, przykrojonego podług Figury 21. Górna część rękawów wszywa się do karczka, na dolną dodane jest wycięcie w płaszczyku. Na pelerynę i kapturkowy kołnierz podaliśmy już formę w Tyg. Mód.

Na modelu peleryna ma z przodu 60 z tyłu 67 cent. długości, a u dołu 270 cent. obwodu. Do garnirunku użyty szlaczek dziergany 2—3 c. szeroki i torsadka pikowa 1 i pół c. Garnirunek ten zastąpiony być może arabeską wyszytą sznurkiem lub sutaszem.

N. 12—13. Napierśnik szydełkowy. Materjał: bawełna estramadura. N. 5. Krój na dodatku N. XVI. Fig. 53. Prążki poprzeczne, schodzące się z sobą w pośrodku i odznaczające się na zwykłem, tunetańskiem tle napierśnika, powstają gdy po każdym trzecim rzędzie nabiera się od spodu pentelki oczek. Napierśnik składa się z 2-ch części robionych oddzielnie i po wykończeniu spojonych środkiem. Liczba oczek i rzędów w robocie, zależy od grubości bawełny, szydełka i od wolniejszéj lub ściślejszéj roboty, nie podajemy więc obliczenia, gdyż łatwo będzie przybrać lub zgubić oczko, przykładając robotę do formy oznaczonéj w dodatku na Fig. 53. Zalecamy nawet często porównywanie roboty z formą, gdyż od tego zależy zgrabny kształt napierśnika. Szydełkowe tło obrobione w koło jednym rzędem o. śc: zakończa szlaczek odrobiony na widełkach, z cienkiego sznureczka. Frendzla nieprzecinana odrobiona na linijce dwoma nitkami, przyozdabia brzegi napierśnika, związanego w górze kolorową wstążką 4 cent. szeroką.



N. 19. Przykrycie na koszyk. Aplikacja. Zmniejszone. Patrz. N. 20—22.



N. 22. Oszycie do przykrycia ryc. 19.

N. 14—15. Dwa półkoszulki dla chłopczyków. Krój Fig. 46—48 w dodatku z krojami. Obadwa półkoszulki służą do koszul bez kołnierza, tylko w pasek wszytych. N. 14 odrobiony jest z perkalu w kolorowe paski, a N. 15 z cienkiego płótna. Pod obadwa potrzeba dać perkalową podszewkę a kołnierze i paski muszą być potrójne. Brzegi kołnierzy ostembnowywa się dwa razy lub obejmuje stembnowaną pliską.

N. 16 i 17. Opisy przy rycinie 25 i 27.

N. 18. Haftowany szlak do teki rycina 11 w N. 36 T. Mód.



N. 20. Medaljon środkowy do przykrycia N. 19. Wielkość naturalna.

N. 19—22. Przykrycie na koszyk. Wypukła aplikacja. Materjał: białe i ciemno brązowe sukno na tło, kawałki sukna w dwóch cieniach: pąsowe, żółte, popielate, różowe, piaskowe i różne kolory zielone w trzech lub czterech cieniach, jedwab filozelowy w kolorach powyżéj wymienionych, a także lila, niebieski i t. p.

Nowy wzór, tylokrotnie już opisywanej przez nas roboty wypukłéj aplikacji, z sukna z podłożeniem waty i haftu jedwabiem, podaje dziś rycina 19, przedstawiająca bukiet z kwiatów leśnych i polnych, do złudzenia naśladujących naturę. Piękny ten bukiet wykonany na suknie białem, wyciętem w zęby, przyszyty jest podług wzoru ryciny 16, jedwabiem pomarańczowym, ściegiem krzyżowym na tle brązowem. W zagłębieniach ząbków wyszyte są gałązki cierniowe. Bukiet taki podany w naturalnéj wielkości na rycinie 17 służyć może za medaljon do ozdobnego wieszadła, zakończony ciętą frendzlą, jak pod N. 19, służy za przykrycie koszyka na robotę lub negliżyki. W aplikacji kwiatów potrzeba między podanemi przez nas na początku kolorami sukna, dobierać cieni i kolorów jak najwięcej zbliżonych do naturalnych barw, gdyż piękność bukietu od tego zależy. Oszycie dodane w koło owalu, 38 cent. długie i 44 cent. szerokie, wykonywa się podług ryciny 21, podającéj pojedynczy narożnik, z ciemno brązowego i piaskowego sukna. Zakończenie przykrycia stanowi obszycie z pąsowego sukna, podług ryciny 22 wycinane wzdłuż i w ząbki przez co naśladuje frendzlę. Przyszyte jest jedwabiem czarnym, ściegiem krzyżowym, i ściegiem cierniowym.



N. 23. Flanelkowa sukienka dla chłopca. N. 24. Alpagowa sukienka dla dziewczynki.



N. 25. Sukienka z haftowanemi pliskami dla dziewczynki od lat 4—6. Krój F. 16—19.



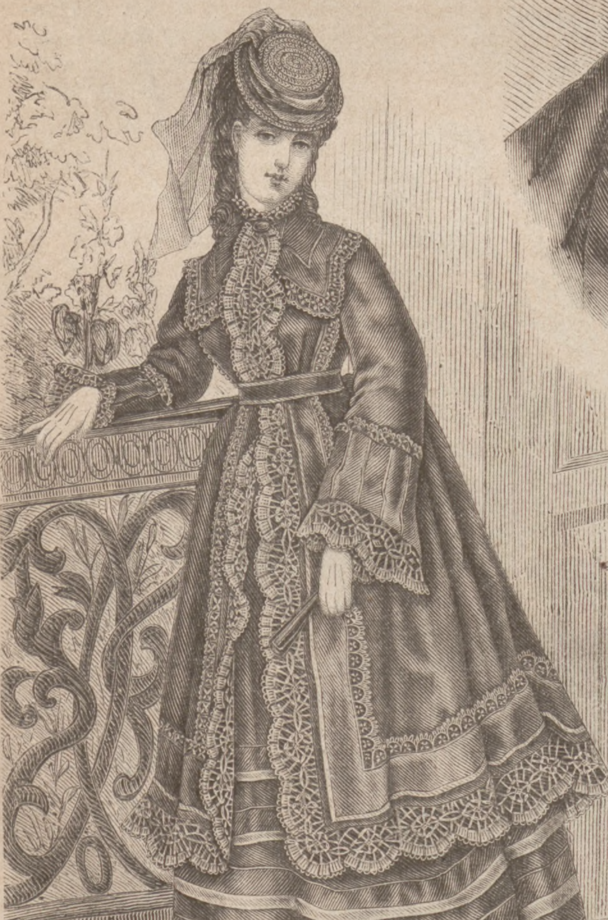
N. 27. Ubranie dla chłopca od lat 6—8. Bluzka patrz N. 17. Krój na dodatku N. XIII. Fig. 39—45.



N. 28. Chusteczka i rękawki muślinowe z koronką. Krój na dodatku N. III, Fig. 5.



N. 26. Wyszywana pliska do sukienki N. 25.



N. 29. Spacerowe ubranie z vêtement. Krój na dodatku N. XII. Fig. 38. Tył vêtement patrz ryc. 25.



N. 30. Spacerowe ubranie z kaftanikiem i tuniką. Krój kaftanika z marynarskim kołnierzem na dodatku N. XI Fig. 33—37.

N. 23—24. Ubrania dla dzieci do lat 3.

N. 23. Sukienka flanelkowa dla chłopca. Trzy cent. szerokie przybranie sukienki, otaczające również wykrój szyi, rękawy, karoczek i pasek składa się z pół cent. szerokiej pliski, oszytej sutaszem. Skośno, od ramienia idące zapięcie sukienki, odznaczone pliskami, przybrane jest guzikami z konchy perłowéj. Do gładkiego przedniego bryta, ściętego skośno, dołączają się z każdej strony dwa skośne bryty mające po 18 cent. w górze, a 31 cent. szerokości u dołu. Karoczek przyszyty z lewej strony do paska, składa kawałek prosty 10 cent. szeroki, 152 cent. długi, ułożony w fałdy plisowane wzdłuż paska 56 cent. długiego.

N. 24. Alpagowa sukienka dla dziewczynki.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w numerze 38-m.